Nr. 49. Poznań, dnia 9 Grudnia 1906 r. Rok X.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,25 z odnoszeniem do domu . . 1,37 pod opaską . . 2,50

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1465. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Wiec polsko-katolicki

archidyecezyi gnieźnieńskiej i poznańskiej

odbędzie się

w niedzielę, dnia 16-go bm. o godzinie 12-tej w południe

w Poznaniu.

Bliższe informacye ogłoszone zostaną później.

O tron arcybiskupi.

Jeszcze grób nie zamknął się nad trumną, kryjącą szczątki ś. p. N. Ks. arcybiskupa Stablewskiego, zwłoki jego zaledwie złożono w trumnie, nie zakryto ich jeszcze wiekiem trumiennem, kraj zaledwie zdołał przywdziać żałobę po swym arcypasterzu — aliści jadowity trąd hakatyzmu rzucił rządowi w oczy hasło: nie dopuść, by spuściznę tego prymasa polskiego, tego przywódcy ruchu polskiego, objął znowu Polak.

„Tylko Niemiec może posiąść tron arcybiskupstwa gnieźnieńsko-poznańskiego!" — wołają hakatyści.

Hasło to rozpoczęło walkę o przyszłego arcybiskupa.

Niestety — prasa nasza — popełniła ten nietakt, że wobec otwartej trumny, odpowiadając na zaczepki wrogie, zaczęła niejako targi o to, kto będzie przyszłym arcybiskupem naszym.

Nietakt to bezwątpienia, tem przykrzejszy, że w takiej chwili należało zachować wobec powagi śmierci i znaczenia zgasłego Arcybiskupa — godność, spokój i rozwagę.

A ta rozwaga gwałtem nasuwa myśl, zawartą w biblijnem przysłowiu: albowiem wielu jest powołanych, ale mało wybranych — a wybranym tutaj może być tylko *jeden!*

Wybór nowego arcybiskupa u nas zależny jest od trzech władz: dwóch [illegible]nych, t. j. obu kapituł poznańskiej i gnieźnieńskiej i od Ojca św. — i od rządu.

W przeciągu trzech miesięcy po śmierci arcybiskupa — muszą obie kapituły się zebrać i przedłożyć rządowi jednę po drugiej listy 6 kandydatów na opróżniony tron.

Jeżeli rząd pierwszą listę odrzuci — kapituły podają drugą — a jeżeli rząd obie listy odrzuci, wtenczas decyduje o wyborze sam Ojciec św. Układy wówczas toczą się wyłącznie pomiędzy rządem, więc królem a Ojcem św.

Po śmierci ks. arcybiskupa Dindera rząd propozycye ówczesnych kapituł odrzucił — a skutek układów pomiędzy Ojcem św. a cesarzem był ten, że tron arcybiskupstwa gnieźnieńsko-poznańskiego objął zgasły tak niespodziewanie ks. Dr. Floryan Stablewski.

Ks. arcybiskup Dinder umarł latem r. 1889 — układy trwały dwa przeszło lata, bo dopiero w końcu r. 1891 nastąpiło porozumienie — a intronizacya nowego arcybiskupa na początku 1892 r.

I teraz niewątpliwie porozumienie nie będzie łatwe. Stosunki dziś pomiędzy rządem a społeczeństwem naszem gorsze są aniżeli wówczas, przeciwieństwa ostrzejsze. Przeciwieństwa te na polu kościelnem piętrzą się coraz bardziej — dowodem tego chociażby strajk szkolny.

Wątpić więc wobec tego należy,ażeby rząd, tj. król zgodził się na którąkolwiek przez kapituły proponowaną listę kandydatów. Sprawa więc przyszłego arcybiskupa gnieźnieńsko-poznańskiego niewątpliwie rozstrzygnie się pomiędzy Rzymem — a Berlinem.

Ścierać się będą i tutaj przeciwieństwa interesów Kościoła z pruską polityką na „kresach wschodnich".

Ojciec św. bez wątpienia dbając o interesy Kościoła, baczyć będzie na to, ażeby na tronie arcybiskupim zasiadł dobry i wierny Kościołowi katolickiemu kapłan.

Rząd pruski atoli dążyć będzie za poduszczeniem hakatyzmu, ażeby tron ten objął polityk w rodzaju ks. kardynała Koppa, zwolennik germanizacyi, choćby ona prowadziła przez progi Kościoła.

Przeciwieństwa te są tak wielkie — że układy mogą potrwać długo, dłużej nawet aniżeli po opróżnieniu stolicy arcybiskpuiej przez śmierć ks. arcybiskupa Dindera.

Nie podobieństwo, przewidzieć tego co się stanie, tem mniej dziś już wskazać, kto będzie przyszłym arcybiskupem. W artykule obok pod tytułem „płonne bawy" wspomniane są 4 ewentualności. Która z nich stanie się rzeczywistością?

Inna atoli jest rzecz rozpatrywać sprawę wyboru z punktu widzenia, jakie on dla nas będzie miał znaczenie?

Przypatrzmy się najważniejszym dla nas dwom ewentualnościom, t. j., że przyszłym arcybiskupem naszym zostanie albo Polak — albo Niemiec zw. rządowiec.

Co może dla nas zrobić arcybiskup, — Polak?

Bronić będzie bezwątpienia intere-

sów Kościoła, to będzie jego obowiązkiem z urzędu.

Czy będzie on mógł popierać i nasz ruch narodowy?

Przykład ostatniego ks. arcybiskupa jest tutaj dla nas aż nadto pouczającym. Rząd go skrępował tak, że dla tego ruchu nic zrobić nie mógł — a co gorsza, każde śmielsze wystąpienie w obronie Kościoła i religii, jeżeli tylko z temi sprawami połączony był cień języka polskiego, spotykało się z brutalnemi odmowami rządu, z podejrzeniami o „wielkopolskie dążności", z napaściami przez wrogą nam prasę niemiecką i nieustannem tejże prasy szczućiem przeciwko ks. arcybiskupowi.

Będzie Polak zasiadał na tronie arcybiskupim, to powtórzy się wszystko to samo i tak samo jak było za rządów ś. p. N. ks. Arcybiskupa Stablewskiego: rząd będzie domagał się od niego poparcia swej polityki — społeczeństwo swej, a ponieważ nowy arcybiskup ani jednej ani drugiej strony w zupełności nie będzie mógł zadowolnić — obie strony będą zeń niezadowolone. Kto wie, czy szczęśliwa śmierć zdoła go uchronić od więzienia i wygnania.

Dla Polaka tron arcybiskupstwa gnieźnieńsko-poznańskiego jest nie tylko najwyższą godnością — ale i przyczyną do nieustannego męczeństwa za kościół i za naród.

Ale to jest obowiązkiem każdego z nas, o ile więc więcej dla Polaka, któregoby spotkaćby miała ta najwyższa godność. Ks. kardynał Ledóchowski i ks. Arcybiskup Stablewski będą po wszystkie czasy dla przyszłych arcybiskupów Polaków na stolicy gnieźnieńsko-poznańskiej wzorem, jak urząd ten piastować należy z godnością należącą się św. kościołowi naszemu i naszemu społeczeństwu.

Arcybiskup rządowiec dozna bezwątpienia gorącego poparcia ze strony rządu. Czy zatwierdzi go Ojciec św.?

Przypuśćmy jednak, że skutkiem nacisku rządu pruskiego Ojciec św. ulegnie, że zatwierdzi ks. arcybiskupa-rządowca w rodzaju ks. kardynała Koppa, co wtenczas?

Społeczeństwo nasze bez wątpienia rychło się dowie, kto on zacz, i do czego będzie zmierzał.

„Po uczynkach jego go poznamy" — do tych uczynków zastósujemy nasze względem niego postępowanie. Jeżeli zechce nas germanizować, postąpimy tak, jak postępuje sobie względem ks. kardynała Koppa — ruch narodowy na G. Śląsku — staniemy śmiało i otwarcie przeciwko niemu. I jeżeli młody, rozwijający się zaledwie ten ruch narodowy na G. Śląsku zdołał skutecznie odeprzeć zachcianki ks. kard. Koppa, który od lat już stoi na czele dyecezyi wrocławskiej, który za sobą ma całe zastępy germanizatorów-księży — to co zrobi wśród nas arcybiskup nowy, nie znający nas i nie mający za sobą naszego polskiego duchowieństwa?

Ruchowi naszemu narodowemu od przyszłego arcybiskupa-rządowca na stolicy gnieźnieńsko-poznańskiej nic nie grozi. Grozi tylko niebezpieczeństwo — kościołowi i wierze św.

I cóż stąd wyniknie? To przedewszystkiem, że na społeczeństwo spadnie nowy obowiązek: obrony kościoła i wiary św. w energiczniejszy sposób aniżeli dotąd.

Nie będzie to znowu zbyt trudno. Religia, kościół, wiara i narodowość tworzą u nas taką jednolitą całość, że nie tylko nie wykluczają się wzajemnie — lecz że uzupełniają się. Toż u nas Polak to katolik! Dwa te różne pojęcia zespolą się ze sobą jeszcze ściślej, im więcej będzie potrzeba wspólnych sił do ich obrony.

W taki sposób obsadzenie tronu arcybiskupiego Polakiem czy Niemcem nie zaszkodzi ani sprawie kościoła, ani sprawie narodowej, jeżeli tylko my, t. j. całe społeczeństwo będzie umieć bronić i jednej i drugiej. Ale oczywiście wolelibyśmy, ażeby na tron ten wstąpił kapłan Polak, krew z krwi naszej, kość z kości naszej.

Płonne obawy.

Sprawę następstwa po ś. p. N. ks. Arcybiskupie Stablewskim oprócz naszej omawia żywo także prasa zakordonowa. Wśród powodzi artykułów na ten temat wyróżnia się znajomością stosunków naszych, spokojem i doskonałem uchwyceniem położenia obecnego, artykuł p. *Al. Czechowskiego* w „Dzwonie Polskim".

Artykuł ten tak bardzo odpowiada zapatrywaniom naszym na tę sprawę, że podajemy go tutaj w całej rozciągłości. Pan Al. Czechowski pisze:

Na lud polski w W. Ks. Poznańskiem spadła nowa klęska. Utracił arcypasterza, któremu wśród licznych — nie zawsze zresztą słusznych — zarzutów, jednego nikt robić nie miał prawa i nikt też nigdy zrobić się nie odważył: że serce jego było nieczułe na bóle społeczeństwa, że nie starał się według sił o naprawienie jego ciężkiej doli, że nie znosił prześladowań wraz ze swoim ludem i wraz z nim nie cierpiał. Arcybiskup Stablewski był gorącym patryotą, kochał swój kraj i naród i jego ideały, a jeżeli nie zawsze pozostawał w zgodzie z opinią większości społeczeństwa, to różnicę stanowiły zawsze tylko zapatrywania na metodę i sposoby obrony praw i interesów narodowych, a nigdy na cele akcyi politycznej.

Stąd wyraźna niechęć, okazywana arcybiskupowi przez rząd pruski, stąd gorąca nienawiść, uwydatniająca się przy każdej sposobności w prasie hakatystowskiej. Nie potrzeba było wcale jego przedśmiertnego wystąpienia w sprawie nauki religii, aby usłyszeć z kół rządowych i germanizatorskich zapewnienie, że podobnego jemu patryoty polskiego, rząd pod żadnym warunkiem nie zatwierdzi na stolicy S-go Wojciecha, że następcą Stablewskiego może być tylko ksiądz niemiecki. Oświadczano to z całą stanowczością już przed wielu laty, kiedy stosunki nie były jeszcze naprężone do tego stopnia, jak obecnie i nie ulega najmniejszej wątpliwości, w jakim kierunku będą zwracały się teraz zabiegi rządu berlińskiego.

Fakt ten budzi w dość szerokich kołach społeczeństwa pewien niepokój, obawy o następstwa tej pruskiej polityki kościelnej, która zmierza do przekształcenia władzy duchownej w Poznaniu na organ germanizacyjny, powątpiewania, czy mianowanie arcybiskupa niemieckiego nie byłoby ciężkim ciosem dla polskości w tej dzielnicy. *Kto jednak miał sposobność zajrzeć głębiej w stosunki poznańskie i w duszę ludu poznańskiego, ten obaw takich podzielać nie może*, pomimo, że przyszłość stolicy arcybiskupiej w Poznaniu jest więcej niepewna, niż się ogólnie przypuszcza.

Istnieją cztery możliwe sposoby ułożenia się stosunków tamtejszych: 1) Rząd może zapragnąć urzeczywistnienia nienowego pomysłu, aby znieść zupełnie arcybiskupstwo gnieźnieńsko-poznańskie i przyłączyć jego pojedyńcze części do dyecezyi sąsiednich, a więc wrocławskiej, chełmińskiej i warmińskiej. 2) Rząd może nie dojść wcale do porozumienia ze Stolicą Apostolską, a wtedy nowy arcybiskup nie będzie mianowany i archidyecezyą będzie rządził upełnomocniony przez Papieża, nieznany rządowi, komisarz. 3) Może dojść do mianowania arcybiskupa niemieckiego, ale nie takiego, któryby zgodził się na nadużywanie swojej władzy w celach germanizacyjnych. 4) Wreszcie, miejsce ś. p. Stablewskiego może zająć rzeczywiście Niemiec ze szkoły kardynała Koppa lub Fischera, przejęty dążnościami germanizacyjnemi.

Z tych czterech wypadków, możliwych w zasadzie, pierwszy należy uważać za wyłączony w praktyce w chwili obecnej. Nie można tego przypuszczać, żeby Stolica Apostolska, poinformowana należycie ze strony polskiej, miała zezwolić na zwinięcie arcybiskupstwa gnieźnieńsko-poznańskiego. Alternatywa druga, zatarg z Rzymem, którego następstwem byłoby pozostawienie archidyecezyi przez czas dłuższy bez zwierzchnika, uznanego przez władze pruskie, — nie byłaby dla polskości nieszczęściem. Powtórzyłyby się czasy wygnania Ledóchowskiego, czasy potężnego podniecenia religijnego, a zarazem narodowego, które przyczyniłoby się jeszcze bardziej do uświadomienia ludu, do wzmocnienia jego stanowczości i odporności.

Mianowanie, drogą kompromisu z Rzymem, arcybiskupa Niemca, który uważałby się tylko za pasterza dusz, a nie za „obrońcę i krzewiciela niemczyzny na kresach wschodnich'', jest najwięcej prawdopodobne, a nie byłoby bardzo groźne dla polskości. Arcybiskupa takiego, który byłby przedewszystkiem ,,księdzem'', ludność polska ujęłaby sobie szybko swą głęboką i szczerą religijnością, silnem przywiązaniem do wiary i kościoła, poświęceniem i pracowitością swego duchowieństwa, wreszcie, temi wszystkiemi zaletami duszy, które sprawiają, że przejmuje się sympatyami dla narodu polskiego każdy Niemiec, który spotyka się z nim *bez uprzedzenia* i żyje wśród niego czas dłuższy, dla których spolszczyli się nietylko w czasie dawniejszym „bambrzy'' i osadnicy niemieccy w różnych stronach W. Księstwa, lecz i przedostatni arcybiskup Niemiec, przysłany przez rząd umyślnie aż z Królewca w celach germanizacyjnych.

Gdyby jednak miała stać się rzecz nie bardzo prawdopodobna, ale bądź co bądź, możliwa, gdyby rząd pruski zdołał jakimkolwiek sposobem nakłonić Papieża do zatwierdzenia kandydata, podzielającego dążności hakatystowskie? Arcybiskup-hakatysta na stolicy Starego Wojciecha — to byłoby niewątpliwie widowisko bardzo smutne, ale w praktyce nie tyleby ucierpiał na tem naród polski, ile ten bezecny śmiałek, który odważyłby się sięgnąć po pastorał arcybiskupi poznański, nie po to, ażeby służyć Kościołowi, lecz aby nadużyć władzy kościelnej do celów, wręcz przeciwnych zasadom kościoła.

Lud polski w Poznańskiem jest nietylko głęboko religijny i stosunkowo bardzo uświadomiony, jest on przedewszystkiem „polsko-katolicki'', a jest to pojęcie jednolite, którego nie można rozbierać [illegible] jego składniki. Nie pójdzie on na na[illegible]two katolickie-niemieckie, ponieważ nie jest polskiem, ale nie pójdzie też do kościoła polskiego ewangielickiego . . . ., pomimo, że jest polski. Jest on ogromnie zakochany w swojej tradycyi polsko-katolickiej, odczuwa natychmiast i odrzuca najbezwzględniej wszelkie zmiany, sprzeczne z tą tradycyą i odwróciłby się natychmiast od arcybiskupa, który chciałby w celach politycznych zmiany takie narzucić. Nieinaczej jest z inteligencyą. Arcybiskup, który okazałby się wrogim narodowości ludu polskiego, powierzonego jego pieczy duchowej, celu swegoby nie osiągnął, a odepchnąłby od siebie wszystkich, i tych, dla których najwyższem przykazaniem jest nauka kościoła, i tych, którzy gotowi poświęcić wszystko dla celów narodowych. Na te dwie grupy dzieli się tylko ludność polska w Poznańskiem. Innych niema. Znaczy to, że cała ludność odwróciłaby się od swego arcypasterza okazywałaby mu najwyższą niechęć i nieufność, bojkotowałaby go zupełnie. Zresztą nie tylko Polaków, także Niemców katolików, którzy i dziś naogół nie chcą mieć nic wspólnego z polityką germanizacyjną (?), taki arcybiskup odepchnąłby od siebie. Pozostałby odosobnionym figurantem bez wpływów i znaczenia, bo wpływy arcybiskupa nie stąd pochodzą, że dzierży pastorał w dłoni, lecz, że jest rzeczywistym przewodnikiem oddanego swojej pieczy ludu, że za nim stoi ogromna rzesza, gotowa pójść za nim w ogień, gotowa osłaniać go własnemi piersiami, jak osłaniała niegdyś Ledóchowskiego i byłaby w razie potrzeby osłoniła Stablewskiego.

Czy jednak hakatysta na stolicy arcybiskupiej nie mógłby, pomimo przekleństw ludu, narzucić zmian, któreby zaciężyły na dalszym rozwoju myśli polskiej, prowadziły powoli do germanizacyi? Czy dalej, lud polski potrafiłby bronić nadal z taką energią swych praw narodowych, jak dotychczas, gdyby miał na stolicy arcybiskupiej wroga a nie kierownika, lub przynajmniej serdecznie współczującego doradcę? Pod tym względem wszelkie obawy byłyby najzupełniej płonne. Zastawszy na probostwie księży-obywateli i patryotów, których nie mógłby usuwać dowolnie, na innych stanowiskach niemniej patryotyczne duchowieństwo niższe, a bardzo tylko maleńką liczbę księży niemieckich, arcybiskup nie wielkie znalazłby pole do popisów germanizacyjnych. Mógłby w ciągu dłuższego szeregu lat obsadzić pewną, niezbyt wielką liczbę probostw hakatystami, mógłby zaprowadzić w pewnej liczbie kościołów nabożeństwa niemieckie, podczas których kościoły świeciłyby pustkami, mógłby wreszcie wychować w seminaryach pewną liczbę młodych księży, usposobionych wrogo dla polskości — ale to też wszystko!

O tem zaś, żeby mianowanie arcybiskupa niemieckiego miało pozbawić lud polski kierownika w walce o prawa narodowe, mowy wcale być nie może. Pod tym względem rząd i hakatyści doznaliby bardzo przykrego zawodu. Kierownikami politycznymi ludu polskiego arcybiskupi poznańscy nigdy nie byli. W czasach dawniejszych ki[illegible]rownictwo to spoczywało w rękach [illegible]ży, ale to zmieniło się w latach [illegible]nich, w których odniosło zwycię[illegible] zdanie, że księża po za kościołem są zu[illegible]pełnie równi innym obywatelom i nie mogą rościć sobie pretensyi do odgrywania roli przywódców urzędowych.

Choćby zatem arcybiskup hakatysta — co byłoby przypuszczeniem zupełnie fantastycznem — zdołał wykrzywić charakter duchowieństwa, jak to się stało na Śląsku, nie wpłynęłoby to pod żadnym względem na rozwój stosunków politycznych. Lud uświadomiony nie pozwoli wprowadzić się na bezdroża, wie, do czego dążyć należy, zna swoje prawa i środki obrony i sam wychował już sobie przewodników z pośród wszystkich stanów, a „Straż'' dowiodła już, że może obywać się doskonale bez współudziału duchowieństwa.

Tak więc pod żadnym względem niebezpieczeństwa poważnego niema. Nominacya arcybiskupa-hakatysty mogłaby spaczyć cokolwiek życie ludu polskiego, zmuszając go do stanowczej walki z władzą kościelną, którą szanował dotąd głęboko, chociaż nie zawsze słuchał jej wskazówek politycznych, ale nie wstrzymałaby ruchu polskiego; nadałaby mu tylko kierunek cokolwiek więcej radykalny, zwiększyłaby śmiałość działania, i, podniecając wszystkie umysły, zdwoiłaby energię najszerszych warstw społeczności.

Myśl narodowa jest w Poznańskiem zbyt silna, ludność zbyt uświadomiona, ażeby rozwój ich miał być zależny od tego, kto zasiada na stolicy arcybiskupiej. Nominacya arcybiskupa-hakatysty byłaby tylko nową kompromitacyą rządu i systemu germanizacyjnego. Choćby miała nastąpić, bez obawy można spoglądać w przyszłość.

Al. Czechowski.

Życie i zasługi
ś. p. N. ks. arcybiskupa
Dr. Floryana Stablewskiego.

Pod wrażeniem chwili, jaką spowodowała śmierć ks. arcybiskupa Stablewskiego, każde wspomnienie o nim staje się drogie i miłe.

Pogrzeb odbył się uroczyście, w połączeniu z wszystkiemi żałobnemu temu obrządkowi towarzyszącemi ceremoniami. Ze wszech stron, tysiące nadeszło wyrazów żalu do kapituły poznańskiej, nie brakło wśród nich kondolencyi Ojca św. i innych dostojników kościoła — brakło tylko, jak nam mówiono, kondolencyi króla pruskiego. Spełniły jednakże obowiązek ten władze tutejsze rządowe i miejskie.

Kondolencyi najwięcej nadeszło ze wszystkich stron Polski, a co na osobne zasługuje uznanie — z dalekiego Lwowa przybył do nas *N. ks. Teodorowicz,* ażeby ks. Arcybiskupa-Polaka Polak mógł odprowadzić na ostatni spoczynek. Ks. arcybiskupowi Teodorowiczowi cześć za to. Słusznie też Poznań przyjmował go owacyjnie z dawną szczerą i prawdziwą serdecznością. Pamięć jego pobytu długo wśród nas pozostanie żywą.

Do pamiątek chwili pogrzebowej bezwątpienia należą także mowy wygłoszone w czasie pogrzebu. Z tych szczególnie mowa ks. radcy Michalskiego zasługuje na to, ażeby zapoznały się z nią jak najszersze warstwy ludu naszego, a to dla tego, że jest ona wyrazem tego, co każdy Polak-katolik nad grobem wobec trumny śp. ks. arcybiskupa Stablewskiego czuł i myślał.

Jako wyraz więc ogólnego żalu, jako wyraz szacunku, którym darzymy zmarłego arcybiskupa poza grób, podajemy poniżej mowę tę w całej rozciągłości.

„Boże zastępów, dokądże będziesz nas karmił chlebem płaczu, a będziesz napawał łzami?“ (Ps, 79, 6).

Oto przed nami, żałobni słuchacze, w trumnie Arcypasterz nasz, — w trumnie ten, co przez lat 15 czuwał nad nami i piersią nas własną od ciosów zasłaniał i cierpiał i działał za nas, — w trumnie najlepszy nasz pasterz, zwierzchnik i ojciec dyecezyi naszych!

Po raz ostatni wprowadziliśmy Cię Arcypasterzu nasz drogi do tej katedry Twojej, — i przejęci bólem wielkim, co serce rozrywa, okalamy trumnę Twoją i pytamy ze żalem: „Czyliż to prawda?... Czyliż istotnie zastygło to serce, co tak gorąco kochać umiało?... Czyliż istotnie zabrał nam Bóg najlepszego pasterza naszego — dziś, gdzie trzoda Jego pieczy powierzona, najwięcejby potrzebowała pasterskiej Jego opieki.

Cios po ciosie spada na biedne społeczeństwo nasze, krzyż po krzyżu, nawiedzenie po nawiedzeniu.

I z Psalmistą Pańskim zwracamy się ze skargą bolesną do Boga i wołamy pełni żalu: „Boże zastępów, dokądże będziesz nas karmił chlebem płaczu, a będziesz napawał nas łzami?“ „My już bez skargi nie znamy śpiewu, wieniec cierniowy wrósł w naszę skroń“.

Niech się dzieje święta wola Twoja, Panie! „Pójdziem chętnie drogą krzyża, bo nas krzyż do Ciebie zbliża“.

Nauczył nas tego przykładem swoim zgasły nasz Arcypasterz. Dźwigał krzyż ciężki — a nie upadał na duchu. Więc i nam nie uginać się pod ciosem, nie tracić otuchy — ale cierpieć i ufać, jak on cierpiał i ufał.

Dobiegło do końca życie, pełne pracy zbożnej, pełne poświęcenia i zasług. „I nie ustanie pamiątka Jego — tak powiedzieć mogę słowy Pisma św. — a Kościół chwałę Jego opowiadać będzie.“ (Eklezyastyk 29, 13, 14).

Nie ustanie pamiątka Twoja, drogi Arcypasterzu nasz, w sercach naszych, w sercach wiernego ludu Twojego, a chwałę Twoją Kościół, historya naszego Kościoła, na zawsze opowiadać będzie. — Pragnąłbym i ja dziś głosić chwałę Twoją i czyny Twoje i życie Twoje, tak pełne zasług, w jasnem świetle prawdy przedstawić; ale tak się okoliczności złożyły, że zasługi Twoje w ogólnych tylko przedstawić mogę zarysach; — nie zawsze ustom wypowiedzieć wolno, czego serce pełne.

Ś. p. ks. Arcybiskup Floryan Stablewski urodził się dnia 16 października 1841 r. w mieście Wschowie z ojca Onufrego, byłego oficera wojsk napoleońskich, a matki Emilii z Kurowskich, właścicielki klucza Pogorzelskiego. Do gimnazyum uczęszczał najprzód w Poznaniu, a potem w Trzemesznie; — tu i tam gorzały wówczas serca młodzieży świętym zapałem i gorącą miłością kraju; nie dziw, że ciepło tej miłości w sercu ś. p. Arcypasterza do ostatniego tchnienia pozostało. Studya teologiczne rozpoczął ś. p. ks. Floryan w seminaryum Poznańskiem, a kończył je w Monachium gdzie po napisaniu rozprawy „O początkach chrześciaństwa w Prusiech“, uzyskał stopień doktora teologii. Święcenia kapłańskie odebrał dnia 24 lutego 1866 r. — a bezpośrednio po wyświęceniu Władza duchowna posłała go w czasie grasującej cholery na pracę duszpasterską do Tarnowa pod Poznaniem, gdzie młodziutki kapłan, od konającego do konającego biegnąc z słowem pociechy i kapłańskiem rozgrzeszeniem, kapłański przeszedł chrzest ogniowy.

Była to posada przejściowa. Niebawem Władza duchowna zdolnemu kapłanowi właściwe i więcej zdolnościom jego odpowiadające przeznaczyła pole pracy, mianując go mansyonarzem i nauczycielem religii przy gimnazyum w Śremie. Kilka tylko lat śp. ks. Floryan Stablewski na stanowisku tem pozostawał — lat kilka dziesiątek odtąd już upłynęło — a jeszcze dziś w Śremie z czcią i wdzięcznością o ówczesnej pracy i działalności jego wspominają.

I zrozumieć to łatwo. Kto znał bliżej śp. ks. Arcybiskupa, mógł niejednokrotnie o tem się przekonać, że niczego nie robił połowniczo; kładł duszę swoją w to, co robił. Sam pełen zapału — budził zapał. A już młodzież szczególnie do serca mu przyrosła; troska o jej dobro, o jej wychowanie, o ugruntowanie wiary i cnoty w sercach młodzieńczych, zawsze była jedną z głównych trosk arcypasterskich. Tak było obecnie, gdy z woli Opatrzności biskupie sprawował rządy, tak było wówczas, gdy wychowanie młodzieży głównym było obowiązkiem stanowiska jego. Więc oddany był młodzieży duszą całą — a młodzież też sercem lgnęła ku niemu.

Z pod jego ręki wyszło wielu ludzi, co dziś wybitne w społeczeństwie naszem zajmują stanowisko — a wszyscy oni do dni ostatnich nie tylko go czcili jako kapłana wedle serca Bożego, a później jako księcia Kościoła, — ale kochali go jako byłego nauczyciela swojego, co ciepłem własnego serca swojego rozgrzał ich młode serca i nauczył ich kochać Boga i ludzi, Kościół i naród, wiarę i ojczyznę.

Na umiłowanem stanowisku nauczyciela religii przy gimnazyum, byłby śp. ks. Floryan chętnie pozostał jak najdłużej. Niestety, w roku 1873 musiał z stanowiska tego ustąpić, jako pierwsza ofiara zatargu między władzą duchowną a świecką, — iż nie mógł i nie chciał zgodzić się na to, aby naukę religii w nieojczystym młodzieży gimnazyalnej wykładać języku.

W zamian za utracone stanowisko Opatrzność Boża inne mu przeznaczyła pole kapłańskiego i obywatelskiego działania. Z ręki nestora ówczesnego obywatelstwa naszego, hr. Edwarda

Ponińskiego z Wrześni, przyjął krótko przed ogłoszeniem praw majowych, prezentę na tamtejsze beneficyum i został proboszczem wrzesińskim, na którem to stanowisku przez lat 18, aż do wyniesienia swojego na tron arcybiskupi pozostawał.

W pierwszych zaraz latach proboszczowskiej swej działalności w Wrześni zabrał się do gruntownego odnowienia tamtejszego kościoła, od czasu wojen szwedzkich w częściowej pozostającego ruinie, — a z gruntu odnowiony i artystycznie upiększony kościół długie lata będzie parafii wrzesińskiej przypominał byłego jej gorliwego duszpasterza.

Jako duszpasterz pracował ś. p. ks. Floryan Stablewski, nie tylko w kościele, ale także poza kościołem dla dobra powierzonego pieczy swojej ludu. S. p. ks. Arcybiskup należał do rzędu ludzi w szczególniejszy od Boga uposażonych osób, do rzędu ludzi szerszego umysłu i wielkiego serca, co odczuwają i rozumieją ducha czasu i potrzeby chwili i stosownie do tego normują całe działanie i postępowanie swoje.

Czemże byłby dziś kapłan polski, — jakiż miałby wpływ na lud i społeczeństwo, gdyby się chciał zamknąć w kościele, gdyby kapłańskiej swej działalności nie chciał łączyć z działalnością społeczną! Z wyżyn stolicy Piotrowej padło przed laty kilkunastu dla nas kapłanów hasło: Idźcie w lud; — a stosownie do hasła tego ś. p. ks. Arcypasterz przez cały ciąg biskupich swoich rządów zachęcał i pobudzał duchowieństwo swoje do pracy społecznej. Ale sam wprzód już, — zanim jeszcze hasło to padło, — już jako proboszcz wrzesiński, a nawet przedtem jeszcze, już jako mansyonarz w Sremie, tak, a nie inaczej, pojmował kapłański i duszpasterski swój obowiązek.

W Sremie należał do założycieli banku ludowego, — i w Sremie i w Wrześni później gorliwie zajmował się towarzystwami rzemieślniczemi przemysłowemi i rolniczemi, brał udział w ich zebraniach, pouczające wygłaszał na nich wykłady, — i dopiero, kiedy go w r. 1876 posłem do sejmu wybrano, tę część duszpasterskiej swej pracy z konieczności zdał na zastępcę i współpracownika swojego.

Z chwilą wyboru śp. ks. Floryana na posła, nowy, pełen zasług, rozpoczyna się okres w życiu jego.

Lepszego, gorliwszego, wymowniejszego obrońcy praw swoich i słusznych postulatów swoich trudno by chyba wówczas było znaleść społeczeństwu naszemu. Poseł ks. dr. Stablewski zajmować będzie w rzędzie obrońców Kościoła katolickiego i języka polskiego w sejmie berlińskim na zawsze jedno z najwybitniejszych miejsc. Świetną wymową i siłą argumentacyi, opieranej na skrupulatnie zgromadzonych dowodach, druzgotał wywody swych przeciwników, a wykazywał jaknajdobitniej słuszność naszej sprawy. Kiedy przemawiał, a przemawiając oko swe, błyszczące zapałem, zwracał ku przeciwnikom, zdało się, że „serca swego rwie kawały, w piorun zamienia i w twarz im je ciska.“

Skutek praktyczny świetnych tych jego mów poselskich nie był — o ile o Berlin chodziło — ni większym, ni mniejszym od skutku mów innych posłów naszych, — ale mężne jego występowanie w obronie świętości naszych kościelnych i narodowych zdobyło mu serca całego społeczeństwa polskiego, — pozyskało mu przyjaźń i poważanie najwybitniejszych szermierzy i obrońców sprawy katolickiej wśród Niemców katolików owych czasów, jak sławnego Windhorsta, barona Schorlemera i innych, — i wysłużyło mu uznanie Stolicy Apostolskiej.

Ojciec św., Leon XIII, mianował go w uznaniu zasług jego około Kościoła i sprawy katolickiej w r. 1881 tajnym szambelanem swoim, a w r. 1890 nadał mu godność protonotaryusza apostolskiego z prawem noszenia mitry, — godność najwyższą, jaką zwyczajny kapłan, nie biskup otrzymać może. Przy tej sposobności Ojciec św. osobne, nadzwyczaj łaskawe breve do niego wystosował.

Na stanowisku posła pozostawał śp. ks. Arcypasterz aż do chwili, gdy krzesło poselskie przyszło mu zamienić na tron Arcybiskupi.

Z łaski Ojca św. a za zgodą cesarza, wyniesiony został do godności Arcybiskupa Gnieźnieńskiego i Poznańskiego dnia 14 grudnia 1891 r., a na biskupa konsekrowany dnia 17 stycznia roku następnego, i w 3 dni później do katedry swej w Poznaniu wprowadzony.

Czem był dla nas Arcybiskup, — ile działał i cierpiał na stolicy św. Wojciecha, — ile mu zawdzięczają obie archidyecezye nasze, — ile zdobył sobie prawa do miłości i wdzięczności naszej — o tem mówić nie będę; — to zadanie jutrzejszego kaznodziei.

To jedno chciałbym tylko podnieść i na to jedno wskazać, że przez cały ciąg biskupich swoich rządów nigdy nie myślał o sobie, ale zawsze o trzódce, pieczy swej powierzonej, nigdy nie powodował się względem na własną osobę, na własne dobro, ale zawsze sprawę miał na oku.

Ludu wierny! Przyszłość w ręku Bożem; chociaż długie prorokują nam sieroctwo, może Bóg dobrotliwy nam rychlej, aniżeli się wszyscy spodziewamy, znów da pasterza wedle serca swojego.

Ale jakimkolwiek on będzie, ten następca zgasłego Arcypasterza naszego — choćby miał nam stać się najlepszym pasterzem — nie wiem czy będzie mógł więcej cię kochać ludu wierny, i więcej się troskać o dobro twoje, jak cię kochał i troskał o ciebie ten, co w trumnie jest złożony.

Każdy ból twój, odczuwał on w dwójnasób, każdy jęk twój krwawił mu serce, każda łza twoja duszę mu paliła. Krwi serdecznej nie byłby pożałował dla ciebie i dla sprawy twojej. I rzeczywiście życie swoje oddał za ciebie, — bo w obronie słusznych praw twoich stargał siły i zniszczył zdrowie swoje, aż legł wreszcie jak kłos dojrzały na zagonie. Z wieszczem naszym mógłbym powiedzieć: „Nazywam się milion, bo za miliony kocham i cierpię.“

A ty ludu, czyś uznawał zawsze gorącość jego arcypasterskiej troski, — czyś rozumiał, jak szczere, jak pełne poświęcenia były starania jego, podejmowane dla dobra twojego, — czyś pojmował, jak trudne, jak przykre było jego stanowisko, ilu goryczami zaprawione życie jego?

Dziś z żalem okalacie tę trumnę, drogie kryjącą zwłoki — a może dawniej z ust waszych niejedno padło słowo, co krzywdą było dla dostojnego zmarłego...

Czyli wam to pamiętać będzie tam, przed tronem Bożym? Czyli skarzyć się będzie miłościwemu Zbawicielowi?

Nie, nie będzie się skarzył i nie będzie pamiętał; kochał was tu, i w duchu miłości tam za wami wstawiać się będzie.

I zda mi się, że widzę, jak tam od tronu Bożego kreśli w tej chwili krzyż nad nami, błogosławiąc ze serca, jak tyle razy w życiu ze łzą w oku nam błogosławił — błogosławi, by dać zapewnienie, że i tam o nas pamiętać będzie, błogosławi, by nas pocieszyć i pokrzepić na duchu i zagrzać do wytrwania.

On błogosławi, — a my módlmy się za niego...

Ktoby z was przeprosić go pragnął, jak dziecko, uznając winę swoją, kochającego przeprasza ojca, niechby dziś, gdy z nim na zawsze się żegna-

my, z głębi serca pomodlił się za spokój duszy jego.

A i potem, gdy tam w przepięknej spocznie kaplicy, którą Sercu Jezusowemu pobudował — ludu polski, nie zapominaj o Arcypasterzu swoim; chodź tam jak najczęściej, a klękając przy grobie jego, Bożemu polecaj go miłosierdziu. Bożemu miłosierdziu wszyscy w tej chwili go polecamy!

Arcypasterzu nasz drogi, zwracając się do Ciebie po raz ostatni, pełen żalu i bólu głębokiego, z serca miłującego wołam: Niech Cię Bóg dobrotliwy przyjmie tam w niebie jak najłaskawiej, niech Ci za trudy i prace Twoje, za miłość twą i poświęcenie, za Twe bóle i zawody, jak najrychlej niebieską da koronę! O to wszyscy razem w tej chwili — biskupi, kapłani i lud Twój wierny — modlimy się do Boga miłosierdzia, prosząc ze łzami: Wieczny odpoczynek racz Mu dać Panie — umiłowanemu Pasterzowi naszemu — a światłość wiekuista niech Mu świeci na wieki. Amen.

W przededniu wyborów w Rosyi.

Z łatwem do zrozumienia zaciekawieniem świat cały a w szczególności nasz naród czekał na zebranie się pierwszego parlamentu rosyjskiego, śledził każdy krok jego, wyglądając, rychło li zdoła urzeczywistnić choć część tych ideałów wolności, w imię których tyle krwi przelał naród rosyjski. Jakoż pierwsza próba wprowadzenia zasad konstytucyjnych w państwie carów skończyła się fiaskiem zupełnem: Duma po krótkotrwałem istnieniu, nie zbudowawszy nic, nie uchwaliwszy jednego bodaj prawa, rozwiązaną została ukazem carskim i sprawa wprowadzenia w Rosyi istotnego ustroju nowożytnego znów odwleczoną została na czas nieograniczony. Wątpliwą zaś jest rzeczą, czy nowa Izba, mająca się zebrać w początkach marca zdoła posunąć znacznie naprzód wielką sprawę wolności rosyjskiej.

A jest to przecież jej bezpośrednim zadaniem! Wśród mąk i bólów, łez i krwi społeczeństwa całego rodził się w Rosyi porządek nowy, którego istotę i kształty określić miało przedstawicielstwo narodowe, ów kamień obrazy dla rządzącej do dzisiaj niepodzielnie biurokracyi despotycznej, rękami i nogami trzymającej się przeżytych form państwowych. W poczuciu ostatnich godzin nędznego swego istnienia, w obliczu grobu, otwierającego się przed całą tą sforą wyzyskiwaczy, złodziei i okrutników — spodlałego czynownictwa rosyjskiego — używa ono i jeszcze czas jakiś rozpaczliwie chwytać się będzie wszelkich możliwych i niemożliwych środków dla przedłużenia swego nikczemnego żywota. Uśmierciło Izbę, złożoną z samych żywiołów opozycyjnych, Izbę, domagającą się ustąpienia tych wszystkich przedstawicieli nienawistnego systemu dotychczasowego, żądającą daleko idących reform społeczno-państwowych. Znieść całkowicie manifest 30 października, wydany przed barykadami, dla wielu względów jest na razie niemożliwością. Należy więc, nie znosząc formalnie systemu parlamentarnego, uczynić Dumę jaknajmniej dla dzisiejszego rządu szkodliwą.

Do tego celu rząd dąży dziś bez żadnych osłonek. Dla zapewnienia sobie pożądanego składu Izby puścił już w ruch wszystkie części olbrzymiej machiny państwowej: administracyę, sądownictwo, senat i policyę, wyzyskując przy tem to doświadczenie, jakiego nabrał podczas wyborów do pierwszej Dumy.

Wiadomo jest, że sprytnie obmyślana ordynacya wyborcza, zapewniająca włościanom połowę mandatów poselskich, przyniosła rządowi największe rozczarowanie. W rachubach swoich na chłopów, jako zwolenników rządu, zawiódł się najsromotniej; włościaństwo, zorganizowane w Izbie w t. zw. „grupę pracy", stanęło w szeregach najskrajniejszej lewicy, łącząc się w wielu razach z grupą socyalistyczną. Opozycyjni „kadeci", ścigani dziś przez rząd jako stronnictwo „rewolucyjne", byli w stosunku do włościan stronnictwem umiarkowanem. W swem haśle „ziemia i wola" włościańscy posłowie Dumy skrystalizowali najskrajniejsze dążenia społeczne. Ich projekt reformy rolnej, o którym pisałem tylokrotnie, pociągnął za sobą większość Dumy, której stał się grobem.

Okazało się, że dawny pańszczyźniany chłop rosyjski, dający się łatwo powodować różnym stupajkom rządowym, nie jest już dzisiaj typem powszednim, że w szerokich warstwach rosyjskiego ludu poczucie krzywdy wiekowej, ucisku i niewoli bije tętnem wyraźnem.

Lud przestał być dzisiaj opoką samowładztwa. Zmienić zupełnie ordynacyę wyborczą może jedynie Duma, więc należy w dzisiejszem prawie wyborczem, nie zmieniając jego istoty, poczynić takie zmiany, które choć w części pozbawią lud jego położenia korzystnego na rzecz reakcyonistów i czarnosotników!

Tych nie brak dzisiaj w posiadających sferach społeczeństwa rosyjskiego: prócz urzędników dostarcza ich sporo zwłaszcza klasa większych posiadaczy rolnych, maszerujących przeważnie pod znakiem najczarniejszego wstecznictwa. Wybory do instytucyj samorządu ziemskiego wskazały dobitnie, że wśród rosyjskich ziemian przewagę wielką zyskały żywioły rządowe.

Zebrania szlachty powykluczały ze swego grona tych wszystkich członków swoich, byłych posłów do Dumy, którzy podpisali odezwę wyborską. Uchwały zjazdów ziemskich tchną nienawiścią do reform, postępu, natomiast wzywają rząd do użycia najostrzejszych środków dla przełamania „buntu", dla zupełnego zdławienia tchnień wolnościowych w narodzie. Podniosły głowę różne organizacye reakcyi, rozsiane po całej Rosyi związki „narodu rosyjskiego", „prawdziwych Rosyan" itd. Na nich byt swój chce oprzeć gabinet Stołypina, na nich nadzieje pokłada w zbliżającej się kampanii wyborczej, do której przystępuje z całym rynsztunkiem najrozmaitszych sposobów dla zapewnienia sobie przychylnej większości w Izbie.

Jest rzeczą zrozumiałą zupełnie, że każdy rząd pragnie przychylnej sobie Izby. Lecz rząd rosyjski dąży do tego za pomocą środków brutalnych kłam zadających samej zasadzie parlamentaryzmu.

Niepodobna ich wszystkich przeliczyć. Do najważniejszych należą t. zw. wyjaśnienia senatu, dowolnie komentujące ustawę wyborczą. Dzięki wyjaśnieniom onym rząd usunął od wyborów całe warstwy ludności, głosujące już podczas wyborów pierwszych. A więc senat „wyjaśnił", że robotnicy fabryczni nie mają prawa wyborczego z tytułu mieszkaniowego, jak wszyscy inni obywatele miejscy i przez to usunął od udziału w wyborach dziesiątki tysięcy opozycyjnie usposobionych obywateli, zapewniając przewagę mniej zawsze niebezpiecznej dla rządu biurokracyi i kupiectwa. Po wsiach „wyjaśniono", że włościanie, posiadający ziemię od banku włościańskiego, również głosować nie mogą. Ponieważ zaś włościan tej kategoryi jest całe mnóstwo — w niektórych gminach stanowią oni większość — więc przez to zarządzenie zwiększają się znacznie szanse właścicieli większych, czyli reakcyjnie najczęściej u-

sposobionej szlachty i tej nadają przewagę w niejednym ze zjazdów powiatowych wyborców.

Dalej — senat pozbawia prawa głosu w wyborach gminnych wszystkich tych włościan, którzy nie posiadają ziemi. By zrozumieć znaczenie tego ograniczenia, należy pamiętać, że w Rosyi są — *stany*. Kto jest np. zapisany do stanu włościańskiego, pozostanie w nim zawsze, gdyby nawet opuścił swą gminę i posiadł wyższe wykształcenie. W Rosyi nie brak „włościan" — profesorów, inżynierów, statystyków ziemskich, lekarzy. Ci, w myśl ustawy wyborczej, nakazującej gminom wybierać na posłów tylko włościan, tj. zapisanych do gminy włościańskiej, wybierani zostali przez swych siermiężnych współbraci do Izby i stanęli na czele „grupy pracy". Taki np. włościański poseł Aladin posiada wykształcenie wyższe i biegle włada językiem angielskim, „włościanin" poseł Łokot jest profesorem szkoły rolniczej i wielu innych posłów włościańskich łączy z ludem tylko pochodzenie, a nie tryb życia. Ci wszyscy kulturalni włościanie, przedstawiciele zawodów wyzwolonych, są pozbawieni prawa wyborczego w gminie, pozbawionej w ten sposób swych najświatlejszych kierowników, najbardziej godnych pozostać przewodnikami owych warstw ciemnych.

Lecz nie koniec i na tem. Prokuratorya wytoczyła proces 182 członkom pierwszej Dumy, podpisanym pod odezwą wyborską. Są oni w chwili obecnej pod śledztwem i jako tacy nie posiadają prawa wyborczego. A więc te najdzielniejsze jednostki, ci najznakomitsi synowie narodu nie mogą wstąpić w podwoje nowej Izby państwowej. Ów zakaz w pierwszej linii dotyka stronnictwo kadetów, najwybitniejsi członkowie którego, a, mówiąc nawiasem, przyjaciele i sympatycy nasi, tracą możność oddziaływania na losy kraju z trybuny parlamentarnej.

Jeżeli do tego dodamy, że na Syberyi oraz w północnych guberniach cesarstwa przebywa na wygnaniu 40 tysięcy politycznych „przestępców", też oczywiście pozbawionych swych praw wyborczych, to zrozumiemy, że ruch wolnościowy w Rosyi przy wyborach nowych przejść będzie musiał próbę ogniową.

Organa rządowe prócz tego zapowiadają bez ogródek stosowanie różnych form brutalnej represyi. Pomiędzy innemi poszczególnym generał-gubernatorom wojennym nadanem zostaje prawo według własnego uznania, niezależnie od Petersburga, zamykać lub konfiskować pisma opozycyjne, których część znaczna już i bez tego zamknięta. Otwarcie wypowiadają ubolewanie z powodu bezstronnego (?) zachowania się rządu w wyborach pierwszych, przez co umożliwiono zwycięstwo kandydatom opozycyjnym. Jak zaś daleko rząd idzie w zapędach swych reakcyjnych, dowodem prześladowanie kadetów, jako partyi rewolucyjnej. Odmówiono legalizacyi nawet partyi „pokojowego odrodzenia Rosyi", stojącej na gruncie ściśle legalnym, a wszystkim urzędnikom oraz zależnym wogóle od rządu osobom Stołypin zabronił pod karą dymisyi należenia do partyj opozycyjnych. Zresztą coś podobnego praktykuje się bodaj i w Prusach...

Czy w warunkach tak bardzo trudnych wybory dadzą wynik taki sam, jak w kwietniu r. b.? Czy nowa Duma również będzie w całości opozycyjną?

Przypuszczam na zasadzie znajomości stosunków rosyjskich, że skład Dumy poważnym zmianom nie ulegnie. Zwiększy się prawdopodobnie prawica przez wstąpienie t. zw. październikowców w poważniejszej ilości, zmniejszy ilość kadetów, którzy przez popełnione błędy zrazili do siebie część społeczeństwa, powstanie centrum w postaci nowej partyi „pokojowego odrodzenia" i kto wie, czy ta właśnie partya nie odegra decydującej roli, chociaż i siły kadetów pozostaną niemałe. Szanse stronnictw skrajnych są z powodu zmian w ordynacyi wyborczej bardzo małe.

A więc mimo wszystkie przeszkody Duma będzie opozycyjną. Nastrój społeczeństwa zmienił się naogół mało, a uświadomienie polityczne ludu wielkie zrobiło postępy. *Sarmata.*

Stronnictwa ludowe w Galicyi.

(Własna korespondencya „Pracy.")

Lwów, 2-go grudnia.

IV.

Stronnictwo ludowe straciwszy dużo na prowadzeniu praktycznej polityki bez przygotowania chce się ratować tworzeniem programu po przeszło siedmioletniem swem istnieniu. Lecz i ten eksperyment nie udaje się z tego powodu, że nie odrzucają jego zasadniczej, nie twórczej, myśli naczelnej, tj. walki dla zdobycia władzy. Nie pomaga nawet przyczepka do nazwy „polskie" stronnictwo ludowe, której to nazwy dotąd ze względu na Rusinów unikano, gdyż i grunt narodowy nie jest również podstawą działania jego przewódców. Zostali jak byli ściśle klasowem stronnictwem.

Dowodzi tego zresztą program uchwalony na zjeździe w r. 1903. Pojęciem „lud" obejmuje ten program wszystkie warstwy, które zajmują się pracą i pracę uważają za jedyny tytuł do zasług, do praw i obowiązków. Dąży to stronnictwo zatem do usamowolnienia ludu. Ugruntowawszy samodzielność polityczną ludu, chcą ludowcy w programie usamodzielnienia Galicyi i polskiej części Śląska na wzór Węgier. Po podkreśleniu, że tą drogą podniesie się całokształt życia polskiego w Galicyi, podniesie się poczucie sprawiedliwości, wyrobią się charaktery, stawia program jako moralną zasadę w życiu społecznem solidarność z interesem ogółu a przedewszystkiem solidarność w obronie terytoryalnej podstawy bytu. „Niechaj rodacy mają pierwszeństwo przy zakupnie każdej piędzi ziemi" pisze program. „Niechże leci po nad ziemię naszą z krańca w kraniec hasło: Ojcowizna dla Polaków i niech budzi poczucie jedności narodowej", piszą pięknie autorzy tego programu, który w poczuciu tej „jedności narodowej" zna tylko lud, a innych warstw społeczeństwa polskiego nie uznaje. Pominiąwszy jednostronność takiego założenia, w którem „lud pójdzie swoją drogą do wolnej i sprawiedliwej Polski ludowej" — tak jakby lud miał i mógł zastąpić naród, nie można zaprzeczyć, że umieszczono tam hasła, na które każdy Polak zgodzić się może. Niestety zostały one tylko pusto brzmiącemi frazesami, których w praktykę wcielić nikt z tego obozu nie umiał, zdaje się, że nikt nie chciał i nie mógł, mając oczy zasłonięte namiętną walką zdążającą do zapewnienia partyi jak najwięcej korzyści i siły.

Praktyczne jednak postępki stronnictwa, które na zewnątrz reprezentuje sam Stapiński z garstką młodych zapaleńców, kompromitując raz po razie lud polski, zadają wprost kłam tym pięknie brzmiącym słowom programu z r. 1903.

Kiedy stronnictwo demokratyczno-narodowe korzystając z odpowiedniej i bardzo stósownej chwili do urzeczywistnienia zamysłów, wysunęło samodzielność kraju jako postulat ogólno narodowy, rzuciło się stronnictwo ludowe z całą zaciekłością na ten obóz polityczny ze zarzutem, iż tym sposobem chce on obalić prawa ludowe, ja-

kie mu w darze niesie reforma wyborcza i zwalczał ten postulat, a kiedy toż stronnictwo widząc, iż chytry minister austryacki, licząc na łatwowierność początkujących i zaślepionych polityków ludowych, zyskał ich dla swoich planów niszczących nasze stanowisko dotychczasowe w Austryi, rzucił w kraj hasło do walki o obronę tego stanowiska, Stapiński wiedzie lud polski, którym chce zbudować Polskę ludową, ten lud, który nie rzadko nazywa rodaka ubranego w surdut „Polakiem“ sam uważając się za cesarskiego poddanego, do tego ministra z pokorną prośbą, aby go bronił przed krzywdą jaką mu chcą zrobić szlachcice polscy.

Mieliśmy w państwie polskiem dość warcholących szlachciców, szukających u obcych pomocy przeciw własnej braci. Dziś potrafi to zrobić syn chłopski Stapiński, na czele zbałamuconych przez siebie chłopów.

Jednak polityka zaślepia i roznamiętnia. Pokojowe za to zadanie programu polskiego stronnictwa ludowego wykonuje się pewnie ściśle.

„Ojcowizna dla Polaków“ brzmi hasło. Zakłada się bank parcelacyjny siłami ludowemi, mający ułatwić nabycie ludowi polskiemu ze zachodniej części kraju, dobrą, nie drogą a pod dostatkiem będącą ziemię polską we wschodniej części kraju. Cóż się jednak dzieje? Parcelacya to interes dobry, a tem lepszy, im kupujący bliżej sprzedawanej ziemi. Więc bank parcelacyjny parceluje ziemię między ruskich włościan przeważnie, ciągnie duże zyski, ludzie prowadzący go robią dobre interesa a „ojcowizna dla Polaków“ zostaje pustym frazesem. Robi się wtedy hałas, pociągają sprzedawczyków i kupczyków do odpowiedzialności. Jedyną obroną ich to tłómaczenie, że — w interesie nie ma patryotyzmu. Według nich patryotyzm potrzebny tylko do zaczęcia interesu, aby się uczciwi dali wziąć na kawał. Tak nasi ludowcy rozumieją „solidarność z interesem ogółu.“

W imię też tej solidarności rozbili lud cały na atomy, dopomogli do tego, że wciska się tam każdy, kto chce swój interes partyjny poprzeć. Jednak położenie tego ludu nie jest jeszcze rozpaczliwe, jego samowiedza narodowa zwiększa się z każdym dniem. Przoduje pod tym względem polska ludność wiejska we wschodniej Galicyi, która oceniając należycie postępowanie wodzów ludowców, rozumiejąc, że ich sojusz ze socyalistami i radykałami ruskimi, zawieramy w imię dobra tego ludu, przynieść mu może same dotkliwe tylko szkody, garnie się chętnie a coraz liczniej pod sztandary narodowe i swym przykładem pociągnie i Mazurów. Rozumieją na wsi już dobrze, że przyszłość nasza spoczywa w silnej organizacyi narodowej, karnej i posłusznej ogłoszonym programom.

Bes.

Co i jak czytać?

(Kobiety autorki).

Marya Konopnicka znana jest ogółowi więcej jako poetka, niż jako autorka powieści i nowel, z których każda odznacza się artystycznem wykończeniem [1]). O ile w poezyach Konopnickiej podziwiamy zawsze wysoki polot myśli i przedziwną łatwość wierszowania, o tyle w prozie jej uderza nas bystrość obserwacyi i — podobnie jak u Prusa — zdolność odczuwania cierpień prostaczków i maluczkich tego świata. Ta zdolność, którą nazwaćby można talentem serca, widnieje w najdrobniejszym utworze genialnej autorki. Polecamy je gorąco młodzieży, szczególnie panienkom.

Barbara Zapolska, wybitna indywidualność zarówno jako artystka i autorka dramatyczna jako też powieściopisarka, znana i bardzo ceniona. Dramaty jej: „Małka Szwarcenkopf“ i „Tamten“ (ostatni pod pseudonimem Maskoff) dużo zawierają prawdy i zasłużonem cieszą się powodzeniem.

W powieściach swych i nowelach Zapolska roztrząsa zawiłe kwestye społeczne i psychologiczne [2]) dotyka głęboko ukrytych bolów ludzkości i piętnuje z właściwą sobie energią różne nadużycia i krzywdy.

„Przedpiekle“ — ostra satyra na pensye warszawskie — Kaśka Karjatyda — wierny a smutny obraz życia uwiedzionej i sponiewieranej służącej.

Ze stanowiska artystycznego powieści Zapolskiej są niewątpliwie utworami wyższej wartości, lecz ze względów wychowawczych nie radzimy ich dawać dorastającej młodzieży. Treść ich i forma są tego rodzaju, że w wysokim stopniu zdolne są zaciekawić i rozpalić wyobraźnię w kierunku erotycznym [3]). Przytem elegancya i błyskotliwość stylu Zapolskiej zjednała jej gorących zwolenników wśród młodzieży.

Niebezpieczeństwo takiej lektury powinnaby rozumieć każda matka i wychowawczyni. Niepojętem mi się wydaje, że panienka „z dobrego domu“ nieraz czyta rzeczy najniestósowniejsze, a mama tak wybredna i troskliwa, gdy chodzi o wybór fasonu i koloru sukienki, formy kapelusza, po prostu nie wie i nie bada, czem jej dziecko karmi serce i wyobraźnię!

Te wszystko czytające panienki tworzą później arcy niesympatyczny typ cyniczno-zarozumiałych panien sprawiających w towarzystwie pewien dysonans, a w stosunkach życiowych często poważne kolizye.

Czytanie bez wyboru wydaje mi się dla żeńskiej młodzieży o wiele niebezpieczniejszem, gdyż chłopiec, oddając się więcej studyom naukowym znajduje w nich pewien przeciwśrodek przywracający mu równowagę umysłową. Dziewczynka zaś, gdy przedwcześnie rozbudzona w tym kierunku, zanurza się niejako w swej rozpalonej i rozegzaltowanej wyobraźni i z trudnością potem przychodzi jej pogodzić się z twardą i zimną rzeczywistością życia.

Wiele wykolejonych egzystencyi, wiele małżeństw niedobranych pochodzi z tego rozdźwięku wywołanego w kobiecie niestósownem czytaniem.

G.

[1]) Czytelnicy Pracy“ mieli niedawno sposobność zapoznać się z M. Konopnicką jako powieściopisarką w pięknej noweli: *We winiarskim forcie.* Autorka nader trafnie i przejmująco maluje boleść starego żołnierza, słyszącego po raz pierwszy niemieckie kazanie.

[2]) Wyrazy psychologja, psychologiczny pochodzące od greckiego słowa „psyche“ = dusza; odnoszą się do wszelkich objawów *duchowego* życia.

[3]) Wyraz erotyczny pochodzi od nazwy „Eros“, oznaczającej greckie bóstwo miłości.

Prawo to czy nie prawo?!

Znany już jest Czytelnikom „Pracy“ wyrok sądu zabrskiego na G. Śląsku, na mocy którego dzieci pp. Piechy i Zycha miały zostać oddane na przymusowe wychowanie za to, że nie chciały odpowiadać na niemieckie pytania w religii.

Sąd, jak wiadomo, powoływał się w werdykcie swoim na § 1666 kodeksu cywilnego. Z tego powodu wniosło Koło polskie i Centrum w parlamencie interpelacyę. Interpelacya ta z powodu nadzwyczaj długich i burzliwych obrad z powodu skandalów kolonialnych przyszła na porządek dzienny parlamentu w chwili, kiedy uwagi te piszemy.

Nie zatwierdzony został jeszcze wyrok zabrski, nie wiadomo jeszcze, jak go niemiecka nawet opinia najwyższego ciała prawodawczego osądzi, aliści zaszedł fakt okropny, do żywego oburzający, głęboko uzasadniający powątpiewanie, czy my żyjemy w państwie prawa — czy nie?

Oto donosi stroskany i wzburzony

krzywdą, jaka go spotkała, ojciec, organista p. *Feliks Napiątek z Ugoszcza* na Pomorzu, że

w środę dn. 28 listopada roku pańskiego 1906 po narodzeniu Chrystusa przyszli do jego mieszkania sołtys, ławnik, żandarmy i ekzekutor i zabrali mu dwóch synów, 11 letniego Franciszka i 10 letniego Bronisława. Egzekutor odstawił ich do Słupska (Stolp) do t. zw. „Rettungshausu" czyli domu poprawy.

I za co? — spytacie. Otóż za to, że chłopcy z rozkazu ojca nie odpowiadali na niemieckie pytania religii! Z biednego ojca ściągnął nadto p. egzekutor 10,50 mr. kosztów za egzekucyę.

Jakim prawem się to stało? — Wyroku nie było w tej sprawie żadnego — zabierający dzieci powoływali się „na rozkazy!" Jakie to rozkazy?

Niema prawa nikt bez wyroku, bez wszystkiego odbierać rodzicom dzieci. Co się w Ugoszczu stało, to stało się chyba — prawem kaduka. Jest to bezprawie, za które odnośni urzędnicy odpowiedzą przed sądem.

Na takie postępowanie władz — spogląda całe nasze społeczeństwo z oburzeniem bez granic. Posłowie nasi bez wątpienia sprawę tę wezmą w rękę.

Drugi proces „Pracy".

Dwa procesy toczyły się w ostatnich dniach przeciwko „Pracy", przeciwko redaktorowi naszemu p. Idziemu Świtale, pierwszy w czwartek dnia 29-go ub. m., drugi we wtorek 4 bm.

Pierwszy proces dotyczył sprawy strajku szkolnego. Chodziło o artykuł z Nr. 35 pod tytułem „Mali bohaterowie." Sąd jednakże w tym wypadku popełnił o tyle pomyłkę, że za artykuł ten odpowiedzialny jest nasz redaktor p. Bolesław Rakowski. Proces więc został odroczony. Sąd chce zbadać, czy p. Rakowski za ten artykuł sam jeden odpowiada, czy też nie jest współwinnym w tej sprawie także p. Świtała. Na świadków zawezwany prawdopodobnie zostanie personal drukarski „Pracy".

Drugi proces dotyczył sprawy innej. W marcu b. r. umieszczona została w „Pracy" korespondencya z Rogoźna, donosząca, że kilku obywateli tamtejszych, Polaków illuminowało okna swoje z okazyi 25-letniego jubileuszu pary cesarskiej. Obywatele ci wymienieni byli po nazwisku.

Oskarżenie opiewało, że redaktor nasz winien jest: *„usiłowanego wymuszania."* Wymuszania tego dopatrywało się oskarżenie w tem, że artykuł pod groźbą obelgi przez publiczne piętnowanie tych Polaków, którzy okazują swoją lojalność wobec festynów patryotyczno - niemieckich, Polaków odwodzić chce od tych objawów lojalności.

Korespondent nasz istotnie wzywał nas, byśmy lojalizm ten „napiętnowali" — a myśmy życzeniu temu uczynili o tyle zadość, żeśmy korespondencyę jego umieścili bez zmian.

Prokurator w uzasadnieniu swego oskarżenia szczególnie podkreślał to, że „Praca" w *sądzie już znana* jest z tego, że w artykułach swoich lojalizm ten piętnowała, że redaktorzy jej za podobne „występki" byli już karani. To oczywiście winę oskarżonego miało jeszcze obciążać.

Oskarżony redaktor nasz p. Idzi Świtała istotnie faktu tego zaprzeczać nie mógł i do „winy" przyznać się był zmuszony. Skutek był ten, że sąd po krótkiej naradzie skazał go — *na 50 marek kary* — koszta i na zniszczenie wszystkich egzemplarzy Nr. 9-go „Pracy", znajdujących się w jego lub w posiadaniu redakcyi lub ekspedycyi i drukarni.

Zatem i drugi proces przeminął — nie tak groźnie jak pierwszy. Niemniej to jednakże przykro. Faza procesowa zawsze jest nieprzyjemna, pociągająca za sobą z konieczności przestawanie po sądach, wyczekiwanie, tracenie czasu, sił i energii, którychby na lepszy cel użyć można — no i naturalnie z większym pożytkiem dla sprawy naszej.

Ale są to przykrości niezbędne. Żaden redaktor ich nie uniknie póty, póki objawy lojalizmu w społeczeństwie naszem nie znikną.

Przykrości te ponoszą redaktorzy pism polskich ze swego obowiązku, ponoszą je z podniesionem czołem dla świętej sprawy naszej.

A jedno im stąd wyrasta prawo: prawo do uznania i poparcia ze strony społeczeństwa, w którego interesie to wszystko czynią.

Mamy nadzieję, że Czytelnicy nasi poparcia tego i uznania — „Pracy" szczędzić nie będą.

Zebrania i wiece.

W sobotę, w święto Matki Boskiej dnia 8-go grudnia odbędą się następujące wiece:

W Rogoźnie.

W Zaniemyślu

wiec relacyjny o godz. 2-ej po poł.

W Śmiglu

walne zebranie Pomocy naukowej im. Karola Marcinkowskiego na pow. Śmigielski na sali parafialnej o godz. 5 i pół.

W niedzielę, dnia 9-go grudnia odbędzie się:

W Środzie

wiec relacyjny, o godz. 2 po południu. Przemawiać będą posłowie średzcy.

W Miejskiej Górce

o godz. 4 po południu, na sali p. Łukowskiego.

Na Wildzie

pod Poznaniem: wiec „Straży", o godzinie $4^1/_2$ po poł. na sali p. St. Pątza — Dolna Wilda, Wilowa ul.

W Ostrzeszowie

wiec relacyjny, o $4^1/_2$ po poł. na sali p. Kahlerta; przemawiać będą posłowie pp. dr. Niegolewski i dr. Mizerski.

W Poznaniu

walne zebranie „Tow. Pomocy Naukowej im. Kar. Marcinkowskiego na miasto Poznań *w poniedziałek d. 10 grudnia* na sali Koła towarzyskiego w Bazarze o godz. $^1/_2$9 wieczorem.

Wiadomości.

* **W Poznaniu** krąży pogłoska i uparcie się utrzymuje, jakoby krótko przed śmiercią śp. ks. Arcybiskup otrzymał był list z żądaniem, aby w 3 dniach oświadczył, czy zapatrywanie swoje na strejk szkolny zmienił, bo w przeciwnym razie będzie uważany za *politycznego więźnia!*

* **Wyjaśnienie:** W sprawie petycyi o uwolnienie redaktora naszego p. Macieja Wierzbińskiego z więzienia z Wronek otrzymujemy od matki tegoż p. *Felicyi Wierzbińskiej* z Londynu wyjaśnienie, że petycya literatów angielskich nie była połączoną z jej własną. Matka podała petycyę swoją w czerwcu — a Anglicy w październiku. — Bez skutku! —

* **Na cele wyborcze.** Do kasy prowincyonalnego komitetu wyborczego przesłały składkę za rok 1906 powiaty: śremski i odolanowski.

M. Więckowski, skarbnik.
Poznań — Teatralna 6.

* **Na ciężkie kary** narażają się ci, którzy pod wpływem oburzenia znieważają nauczycieli, odznaczających się surowością. W *Koźminie* robotnicy Kaczmarek i Zagórski skazani zostali każdy na 2, a Konieczny na 3 miesiące więzienia, ponieważ odgrażali się rektorowi Krzywosińskiemu.

* **Wiece szkolne** odbyły się w niedzielę w *Starogardzie, Lisewie, Łasinie i Golubiu* w Prusach Zachodnich. Wiec w *Starogardzie* został *rozwiązany*. Natomiast dalsze trzy wiece odbyły się bez przeszkody. Przyjęto jednogłośnie rezolucye, w których wie-

cownicy zaprotestowali energicznie przeciwko udzielaniu religii w języku nieojczystym.

* **Towarz. Czytelni Ludowych.** Wszelkie korespondencye w sprawie towarzystwa naszego, zakladania bibliotek itd., prosimy wysyłać wprost do biura naszego pod adresem: Czytelnia Ludowa Poznań (Posen Bäckerstr. 10).

Adres skarbnika: Dr. Kapuściński Poznań (Posen).

* **Bałamuctwo!** Z różnych stron donoszą, że nauczyciele starają wyzyskać zgon ś. p. arcybiskupa Stablewskiego w ten sposób, że oświadczają dzieciom, iż następcą jego będzie Niemiec (!), więc dzieci nie mogą oczekiwać pomocy ze strony duchowieństwa (?!!). Bałamuctwo takie osiągnęło podobno ten skutek, że w niektórych miejscowościach strejk nieco osłabł — przynajmniej na razie.

* **Uwięzienie redaktorów:** W sobotę ub. tygodnia w południe aresztowany został redaktor „Lecha" w Gnieźnie i na mocy uchwały izby karnej odstawiony do więzienia śledczego. Uwięzionym redaktorem jest p. *St. Szymański*. „Lech" donosi, że aresztowanie nastąpiło z obawy, że p. Sz. z powodu masy procesów, jakie go czekają w sprawie strajku szkolnego, uda się za granicę. Sąd oczywiście się myli — za dobrą sprawę redaktorzy polscy bez wątpienia i więzienie cierpieć gotowi. — We wtorek aresztowano z tego samego powodu redaktora „Postępu" p. *Juliana Trochę*. W tym wypadku akt ten tem mniej jest usprawiedliwiony, ponieważ p. Trocha jest żonaty i pobiera rentę. Prawda, że ma dużo procesów, ale chyba uciekać nie może, jeżeli nie chce żony i dzieci pozostawić w nędzy i utracić renty.

* **Sprawy archidyecezyi:** Administratorem dyecezyi poznańskiej obrany został N. ks. biskup Likowski. Wybór ten kapituły został potwierdzony przez rząd. Tak samo zatwierdził rząd wybór ks. kanonika Dorszewskiego administratorem dyecezyi gnieźnieńskiej. — Rząd wprawdzie spełnił tylko akt słuszności w tym wypadku — ale kto wie, jaki ma w tem cel ukryty. Przypomina się tutaj znany wiersz Virgiliusza Timeo Danaos et dona ferentes, co w polskiem brzmieć może: i dary wroga są mi podejrzane...

* **Rozwiązany wiec:** W *Kórniku* odbywał się ub. niedzieli wiec relacyjny, na którym przemawiali posłowie ks. prał. Stychel i p. dr. Alfred Chłapowski z Bonikowa. W chwili, gdy poseł Chłapowski rozpoczął krytykować system szkolny, dozorujący wiec komisarz policyjny z Poznania wiec ten rozwiązał. Wiecownicy opuścili salę w spokoju, wynosząc z niej nie tylko wrażenie dodatnie z wiecu, ale i poczucie nowej niezasłużonej niczem krzywdy.

* **W sprawie przymusowego nasyłania nauczycieli „karnych" i podniesienia podatków szkolnych** — z Biura „Straży" otrzymujemy następujący komunikat:

Jeżeli dozór szkolny oraz reprezentacya opierają się władzom i nic chcą uchwalić potrzebnych według ich zdania wydatków na szkołę, przysługuje prezesowi rejencyi zarządzenie przymusowego podatku (Zwangsetatisirung). Przeciwko temu może dozór szkolny wraz z reprezentacyą (nie poszczególni członkowie) wytoczyć skargę na prezesa regencyi w *przeciągu 14 dni* po zarządzeniu nowego podatku — do sądu administracyjnego.

Dozór szkolny wraz z reprezentacyą wystawiają wtedy adwokatowi urzędową plenipotencyę, zaopatrzoną pieczęcią.

Sekcya prawno-polityczna „Straży".

* **Nowy gwałt!** W Ugoszczu na Pomorzu (Bernsdorf in Pommern) zastrejkowali chłopcy Franciszek i Bronisław Napiątkowie. Bez wszelkiego uwiadomienia przybyli naraz do mieszkania rodziców żandarm, sołtys i egzekutor, zabrali przemocą chłopców i odwieźli ich do Słupska (Stolp) do poprawczego domu. Ojciec Feliks Napiątek, organista, w rozpaczy napisał do „Straży". Sprawę oddano przewodniczącemu sekcyi prawno politycznej, p. dr. Dziembowskiemu, który na razie powiadomił telegraficznie posła ks. Jażdżewskiego o niesłychanym wypadku. Dalsze kroki w drodze.

* **? ! ? !** — **W Berlinie** zebrał się zarząd towarzystwa niemieckich nakładców gazet na posiedzenie, na którem szczegółowo omawiano obecne położenie dziennikarstwa. Uchwalono jednogłośnie następującą rezolucyę: „Zarząd towarzystwa niemieckich nakładców gazet stwierdza, iż wskutek *znacznego podwyższenia zarobków*, co według odnośnej taryfy stanie się prawomocnem z dniem 1 stycznia 1907 r., wskutek *ustawicznie wzrastających cen* jakie płacić należy *za wszelkie materyały potrzebne do drukowania gazet*, oraz wskutek koniecznego *ulepszenia redakcyjnej części* pism, większość niemieckich nakładców gazet będzie zmuszoną *podnieść ceny abonamentu gazet oraz ceny anonsów*.

A zatem gazety niemieckie *podrożeją*, podrożeją także anonsy.

Powodem tego jest 1) poprawa zarobków zecerom i robotnikom w drukarniach, 2) podrożenie materyału, a więc papieru, czcionek, ołowiu i t. p., 3) potrzeba udoskonalenia redakcyi pism.

My z naszej strony możemy tylko potwierdzić prawdziwość tego niekorzystnego dla wydawnictw pism położenia rzeczy. Co do pism polskich, to przyłącza się jeszcze jeden ważny moment, utrudniający egzystencyę gazet t. j. *ustawiczne procesy prasowe*, kary więzienne i pieniężne, które dziesiątki tysięcy marek rocznie pochłaniają.

Rodacy! widzicie, jak trudne jest położenie gazet niemieckich, *o ile więcej trudne i pomocy potrzebujące jest położenie gazet polskich*. Dla tego agitujcie za gazetami naszemi wszelkiemi siłami! Rozszerzajcie gazety polskie narodowe, róbcie, co w siłach waszych, aby pomnażać liczbę czytelników!

Trudy te wynagrodzą się wam sowicie. Pamiętajcie, że to, *co czynicie dla prasy waszej, dla siebie czynicie!*

* **Wrócony notaryat:** Niedawno temu zaalarmowane zostało społeczeństwo nasze wieścią, że mec. Wyczyńskiemu z Brodnicy odebrany został notaryat za to, że wygotował kontrakt kupna dla Polaka na majątek, na który zęby ostrzyła komisya kolonizacyjna. Obecnie donosi „Dz. Berl.", że notaryat został p. W. przywrócony w drodze procesu administracyjnego. Jednakże sąd najwyższy — kammergericht orzekł, że urzędnik pruski ma obowiązek popierania niemczyzny i skazał p. Wyczyńskiego na naganę i kilka tysięcy marek kary. — Istotnie — państwo „bojaźni" polskiej.

* **Echa Kurzejgóry.** Wiadomo, że w sierpniu odbyła się na Kurzejgórze, własności p. posła dr. Alfreda Chłapowskiego lekcya gimnastyczna, ściśle prywatna. Uczestnicy lekcyi tej odbierają obecnie mandaty karne na 6 mr., wzgl. na 6 z dodatkami po 30 i więcej, jeżeli są prezesami gniazd sokolich. Wszyscy obdarzeni karami odwołują się do sądu. — We wtorek ub. tygodnia odbył się pierwszy proces w tej sprawie *w Kościanie* przeciwko 12 sokołom *z Osieczny*. Pomimo jasnej obrony mec. *Meissnera* sąd kary w 10 przypadkach zatwierdził. Dwóch oskarżonych uwolniono, ponieważ nie można było im udowodnić, że byli na Kurzejgórze.

* **O pobicie dziecka:** Dnia 3 grudnia toczyła się według opisu „Lecha" przed gnieźnieńską izbą karną sprawa przeciwko gospodarzowi *Franciszkowi Kamieńskiemu* z Anastazewa o obrazę nauczyciela. Syn oskarżonego ośmioletni *Józio Kamiński* poszedł zdrów i wesół dn. 27 kwietnia b. r. do szkoły do Ostrowa (Huttawerder). Powróciwszy ze szkoły, chłopiec skarżył się przed matką na ból głowy, na to, że go nauczyciel Vetter obił za rachunki, *nic nie jadł, położył się i umarł* d. 5 maja, *straciwszy na dwa dni przed śmiercią mowę*. Strapiony ojciec, zgłaszając śmierć dziecka na urzędzie stanu, żalił się, *że synek jego umarł skutkiem pobicia nauczyciela*. Sprawa dostała się przed sąd. Sąd ławniczy w *Witkowie skazał* ojca za *obrazę* nauczyciela na 50 marek kary. Wyrok ten zatwierdziła izba karna gnieźnieńska, pomimo że z zeznań dzieci szkolnych wynikało dowodnie, że nauczyciel Vetter zmarłe dziecko Franc. Kamińskiego bił po głowie, że je popychał w tę i ową stronę, że chłopiec upadł na ławę, że nadto otrzymał razy trzciną przez plecy.

Nauczyciel zeznał *pod przysięgą*: że Kamińskiego *nie* bił, że tego *nie pamięta*, że to jest zupełnie niemożliwe, że kija wcale nie miał w ręku...

Wyrok *sądu* wprawdzie zapadł na niekorzyść Kamińskiego, wprawdzie i nauczyciel *przysiągł*, że on niewinien, ale to nie przeszkadza, że uczucie ludzkie wzdraga się i burzy, gdy się o takich zajściach ze szkoły czyta lub słyszy. A nad sędziami ludzkimi, jest sędzia odwieczny, który wie, kto winien, który winnemu wyrzutami sumienia spokoju nie da. Kto wobec niego winnym będzie, ojciec zmarłego dziecka, czy nauczyciel, który przysiągł, że nie pamięta, czy go bił? —

* **Przypomnienie!** Kto jeszcze nie dał grosza swego „na fundusz ś. p. N. ks. Arcybiskupa Stablewskiego na stałe popieranie nauki języka ojczystego dla dziatwy polskiej" — niech się po-

spieszy. Dwa razy daje, kto szybko daje. Szczerze ufamy, że Czytelnicy „Pracy“ nie będą wśród ostatnich. Zwracamy uwagę na dział pod tytułem: Nasza ofiarność.

* **Procesy prasowe:** Przed poznańską izbą karną toczył się w środę proces przeciwko p. Winc. Szpotańskiemu, redaktorowi „Gońca“ — o obrazę nauczyciela Szultza w Pobiedziskach. Sąd skazał p. Szpotańskiego na 150 mk. kary. — Przed *opolską* izbą karną na G. Śląsku toczył się również o obrazę nauczyciela proces przeciwko p. Stef. Globiszowi, byłemu odpowiedzialnemu redaktorowi „Gaz. Opolskiej“. I ten proces zakończył się skazaniem oskarżonego, i to na 50 mk. kary.

* **Zjazd agrarny**, celem omówienia różnych zagadnień z dziedziny rolnictwa, odbywał się w przeszłym tygodniu *w Warszawie*. Z przedstawicieli zaboru pruskiego wymieniają pisma warszawskie pp. *Marcina Biedermanna*, właściciela firmy bankowej „*Drwęski i Langner*“ oraz dyrektora „Banku Ziemskiego“ p. mec. Rychłowskiego. Obaj panowie brali żywy udział w obradach zjazdu, dotyczących sprawy parcelacyi ziemi.

* **Fatalna pomyłka:** Dnia 14-go z. m. — donosi „Dz. Poznański“ — został zawezwany jako świadek w pewnej sprawie p. budowniczy B. z Poznania do Wronek. Ponieważ nie znał położenia gmachu sądowego, dopytywał się urzędników o wskazanie mu właściwego miejsca, gdzie się ma stawić na termin, pokazując zapozew jako świadek. Pierwszy urzędnik, poproszony przez p. B., przejrzawszy pismo pobieżnie, wskazał miejsce, dokąd pan B. natychmiast podążył; drugi urzędnik odesłał p. B. znów dalszemu i t. d. Nagle zadziwiło p. B. bardzo, iż droga wskazana przez urzędników, prowadziła przez długie kurytarze i bramy; w końcu zobaczył napis „Neuer Zugang.“ Tutaj zafrasował się pan B., stając w jakiejś celi, gdy zawołano: „Zelle 150 ist frei!“ Odezwał się do urzędnika, iż pewnie zaszła omyłka, gdyż on jest zawezwany jako świadek a nie jako więzień; dozorca na to nie zważał, tylko zaczął spisywać protokół. Podczas tego zapukano do okienka i zawołano: „Hier liegt ein Irrtum vor, bitte den Herrn B. sofort zu entlassen.“ Teraz dopiero otworzyły się oczy wszystkim, iż p. B. uważano mylnie jako więźnia, który przyszedł odsiadywać karę. Bardzo go przepraszano.

Komentarze zbyteczne!

* **Z teatru:** W ubiegłą sobotę pokazała się na scenie teatru naszego wesoła, pełna werwy i humoru, nie pozbawiona miejscami prawdziwego dowcipu farsa francuska „Adwokat w pułapce.“ Przedstawia ona niewiernego małżonka, który, choć miał żonę piękną i uczciwą, uganiał się za miłostkami za domem. Raz jednakże — jak to mówią — natrafiła kosa na kamień. Wpadł w sidła kobiety p. Nelly, która zakochała się w nim na prawdę. Adwokat, chcąc się jej pozbyć, użył zwykłego w takich razach fortelu, zasłaniał się scenami zazdrości ze strony swej żony. Środek, dotąd niezawodny, zawiódł, kochanka przejrzała podstęp niewiernego adwokata, zgodziła się na służącą do jego żony, przeszkodziła przez to miłostce jego z przyjaciółką żony p. Walentyną — aż obie wreszcie zawiedzione kochanki wymyśliły sposób, by niewierny małżonek prawowitej żonie swojej więcej się już nie sprzeniewierzał. Na tem tle autor osnuł kilka znakomicie nakreślonych scen zazdrości, umizgania się, scen miłości i wreszcie zgody. Teatr co chwila wybuchał kaskadami niehamowanej wesołości. Niemałą zasługę w tem mieli oczywiście i artyści, a szczególnie p. Kośnierska w roli zazdrosnej kochanki, a p. Janaszewski w roli tytułowej. Para ta grała z werwą, humorem i temperamentem. Znakomity typ męża-zazdrośnika, który opuściwszy żonę przedzierżgnął się w plantatora w koloniach afrykańskich, odtworzył artysta p. Zawierski. Rolę żony opuszczonej, a nie czującej ani cienia zazdrości oddała p. Bogusińska, a choć rola ta nie dawała pola do popisu, to jednak tworzyła wcale udatne uzupełnienie na wesołem tle farsy. Przyjaciółkę jej p. Walentynę grała p. Górska. Panna Mańkowska w roli brata p. Nelly okazała dużo talentu. Niemniej p. Junosza, który z każdą nową kreacyą uwydatnia coraz więcej zdolności do odgrywania ról komicznych.

Po tym wesołym wieczorze sobotnim ujrzeliśmy w przeszły wtorek historyczną tragedyę bohaterską sławnego poety naszego, Adama Asnyka. „Kiejstut,“ to rzecz poświęcona starej Litwie, odwiecznej walce pogańskich książąt litewskich z naporem Krzyżaków.

W rodzie „Kiejstuta“ znalazł się syn Butawt, który w młodym wieku ze starym rycerzem Albanem uszedł do Krzyżaków. Cel tej ucieczki był ten, ażeby wedrzeć się w zaufanie wrogów, by posiąść najwyższą ich godność — mistrza krzyżackiego, by poprowadzić ich potem przeciwko Litwie — zdradzić ich i zdradą zabić.

Przedsięwzięcie to szalone. Igraszką losu przerzucony został Butawt do dawnych siedzib rodzinnych w roli posła krzyżackiego, by tutaj przejść przez całą otchłań walki serca i duszy na widok swarów rodzinnych i niezgody. Sam wreszcie — staje się w ręku losu narzędziem do zabójstwa własnego ojca.

Inny Krzyżak, pouczony o zamiarze zdrady Butawt konsula, dopomaga do tej zbrodni — Konrad go zabija. Wreszcie po śmierci ojca, Butawt z nogą na piersi krzyżackiej czuje się zdolnym, „by truć i zabijać i niweczyć wroga.“

Szczerze przyznać musimy dyrekcyi teatru naszego, że rzecz tę wystawiła z wielką starannością i należnym tego rodzaju narodowym dramatem pietyzmem. I artyści wogóle starali się dorość trudnemu zadaniu. Na pochwałę też oddać im trzeba, że rzecz robiła silne i głębokie wrażenie. Zaszczytna wzmianka należy się tutaj w pierwszym rzędzie samemu dyrektorowi p. Rygerowi w roli Kiejstuta, a obok niego p. Michałowicz, która rolę swą księżnej Maryi oddała nie tylko z głębokiem przejęciem, ale i z należytem zrozumieniem. Z historyczną prawdą oddał rolę Jagiełły p. Staniewski — a w. ks. Witolda p. Osterwa. Panowie Zawierski, Ryger jun., Szatkowski, Janiszewski, panna Turowicz i inni tworzyli godny zastęp owych wielkich postaci dawnych minionych wieków.

Niestety — publiczność tylko nie dopisała. Dla czego? — nie rozumiemy. Czyżby ją „bawiła“ tylko lekka muza francuska — a poważne polskie sztuki nic ją nie interesowały?

* **Z teatru.** W środę odegrano po raz trzeci z niezmiernem powodzeniem „*Adwokata w pułapce*“; w czwartek dawano pełną humoru komedyą M. Bałuckiego w 3 aktach p. tyt. „*Grube ryby*“. W piątek po raz drugi „*Kiejstut*“, tragedya Adama Asnyka w 5 aktach. W sobotę po raz pierwszy w tym sezonie sztuka historyczna, przerobiona z powieści *H. Sienkiewicza* p. tyt. „*Ogniem i mieczem*“, nader efektowne dzieło sceniczne w 6 obrazach. W niedzielę po południu o godzinie 3-ej: „*Grube ryby*“ komedya w 3 aktach i „*Smocza jama*“ satyra sceniczna w 1 akcie A. Walewskiego. Wieczorem po raz drugi: „*Ogniem i mieczem*“, dzieło sceniczne w 6 obr. W poniedziałek dnia 10 b. m. odbędzie się w teatrze *Wieczór Mickiewiczowski* ze współudziałem artystów naszej sceny, staraniem Tow. „*Gwiazda*“. We wtorek „*Adwokat w pułapce*“ komedya w 3 aktach z francuskiego. W środę „*Marnotrawny ojciec*“, oryginalna komedya w 4 aktach przez Bernarda Shawa.

* **Z nad Warty.** W niedzielę dnia 25 listopada odprawił się w *Solcu* odpust doroczny św. Katarzyny a zarazem *poświęcenie* nowo wybudowanego tamże kościoła. Po odprawieniu rannego nabożeństwa i ostatniej mszy św. w starym kościółku, odbyło się poświęcenie nowego kościoła przez miejscowego księdza proboszcza Józefa Grabowskiego z upoważnienia Najprzewielebniejszego Księdza Biskupa Dr. Likowskiego. Następnie przeniesiono w uroczystej procesyi Najświętszy Sakrament ze starego kościółka do nowej, jak na Solec wspaniałej i dość obszernej świątyni wobec bardzo licznie zgromadzonych wiernych z bliższych i dalszych okolic, tak, iż w jej murach wszyscy pomieścić się nie mogli. Uroczysty i radosny był dzień ten dla wszystkich pobożnych, którzy przez długie lata ze smutkiem patrzeć musieli na iście Betleemską, ku ziemi się chylącą stajenkę, a w niewygodzie cisnąć się w niej i przebywać nawet z niebezpieczeństwem życia podczas nabożeństwa, gdy oto nareszcie przedstawił się ich oczom godny Stwórcy dom Boży. Radość ta była tem większą, bo wywalczona niewysłowionemi trudnościami i przeszkodami stawianemi budowie kościoła przez jednego z współpatronów, to jest p. Kennemanna z Klenki, który przez lat ośm, licząc od rozpoczęcia pertraktacyi w tej sprawie, starał się usilnie nieustannemi protestami udaremnić przyjście jej do skutku. — Z kapłanów średzkiego dekanatu, do którego się zalicza kościół w Solcu, przybył na tę uroczy-

stość jeden, to jest przewielebny ksiądz proboszcz Świdziński z Nietrzanowa, który celebrował sumę, pierwszą mszą św. w nowym kościele, a z sąsiedniego dekanatu nowomiejskiego stawiło się kapłanów kilku, z pośród których grona pierwsze kazanie w nowej świątyni wygłosił stósownie do okoliczności wymownie przewielebny ksiądz proboszcz Gibasiewicz z Mieszkowa. — Oby Bóg dał, iżby ten nowy przybytek służył Jemu na większą chwałę w długie wieki i aby dzieło w boleściach poczęte i narodzone posłużyło ludziom dobrej woli ku doczesnemu szczęściu a wiecznemu zbawieniu w najdalsze pokolenia.

* **Fałszywy kapitan** z Koepenicku pod Berlinem, sławny z tego, że w mundurze kapitańskim zdołał wywieść w pole burmistrza i zabrać z kasy 4000 mrk., skazany został za sfałszowanie dokumentu (wystawił kwit na owe 4000 mrk.) za bezprawne noszenie munduru, za pozbawienie wolności (burmistrza aresztował) i za ograbienie kasy na 4 lata więzienia. Kapitan ten to przedstawiciel czcigodnego kunsztu szewskiego. Odbiera on w więzieniu z różnych stron Niemiec a nawet z zagranicy przesyłki z różnemi specyałami, wina, słodyczami, łakociami, jakich w swem życiu nie widział. Nadesłano mu także w gotowce coś około 700 mrk., paczek odebrał aż 60. Najdowcipniej urządziły się przedstawicielki pięknych Paryżanek. Przesłały one mu oprócz łakoci śliczną lalkę — w mundurze kapitańskim. — „Kapitan“ Voigt robi tableau!

* **Berlin górą!!** Pośród licznych kolonii naszych, po których błąkają się nieszczęśliwi wygnańcy z ziemi ojczystej, najbliższą kraju i największą jest kolonia polska w Berlinie. Kolonia ta odznaczała i odznacza się prawdziwie polskiemi aspiracyami i szczerze rzec można prym trzyma wśród wszystkich kolonii polskich w Niemczech. Ruch narodowy pod każdym względem jest spotęgowany — wiece liczne, a uroczystości narodowe częste i wspaniałe, praca oświatowa niestrudzona. Donosiliśmy niedawno, że towarzystwa sokolskie-berlińskie, charlottenburskie, rixdorfskie, moabickie, i jak one się zowią urządzały kolejno patryotyczne obchody kościuszkowskie . Dowód to czci dla tego bohatera, ale i dowód, że duch jego włada niepodzielnie nad tymi, którzy go czczą. To było w październiku. Listopad, to miesiąc Mickiewiczowski. Hasło do tych obchodów w Berlinie dał komitet polityczny z p. Fr. Krysiakiem na czele, redaktorem „Dz. Berlińskiego.“ Obchód ten odbył się ub. niedzieli przy nieprzeliczonym udziale Polaków berlińskich, których największa sala berlińska ledwo pomieścić mogła. A jaka strawa dla ducha?! — Mickiewicza sławił p. K. Rose, wydawca „Dz. Berlińskiego,“ utwory jego odtwarzał znany dyrektor teatru krakowskiego p. J. Kotarbiński, utworami muzyki chopenowskiej uczcił go artysta-muzyk Kamieński — nie brakło oczywiście i śpiewu sławnej „Harmonii“ berlińskiej. Takim obchodem duch w kolonii berlińskiej musi się odświeżyć, podnieść i zahartować. Cześć rodakom naszym z Berlina za ten obchód, i za przywiązanie do wielkich bohaterów narodu naszego!

* **Mogilno**, dn. 25. 11. 06. (Hakatyzm w radach miejskich). W czwartek, dnia 22 ub. m. odbyło się niemieckie zebranie przedwyborcze do rady miejskiej, z której występuje obecnie dwóch Polaków. Przewodniczący p. Brüll, pierwszy sędzia mogileński, katolik, w swej przemowie tak się wyraził:

„Panowie! Obecnie gdzie dwóch Polaków występuje z rady miejskiej, jest czas, abyśmy Niemcy okazali nasze niemieckie usposobienie i starali się, aby żaden Polak nie wszedł do naszej rady miejskiej. Państwowe i miejskie urzędy muszą być z Polaków oczyszczone. My Niemcy na kresach wschodnich dopiero wtenczas będziemy mieli błogie życie, kiedy żywioł polski zostanie wykluczony, bo Polak w naszych stronach jest naszym odwiecznym nieprzyjacielem (Erbfeind)“.

Tak mówi sędzia Niemiec katolik.

* **W Grodzisku** odbyły się ub. niedzieli dwa wiece, jeden „Straży“ i jeden relacyjny. Na „Straży“ przemawiali pp. dr. Jaworski i p. Milski, wydawca „Gońca“ z Poznania. Na wiecu relacyjnym mówili posłowie pp. Maciej Mielżyński i dr. Zygm. Dziembowski.

* **Opole.** Według najświeższej wiadomości zdecydowano się nareszcie p. *Goduli* zwrócić pieniądze zabrane w sumie *39 mr. 60 fen.*, nadto *zegarek i pierścionek*. Natomiast papiery obłożone aresztem, zatrzymał prokurator. (patrz artykuł p. t. „niespodziewany areszt“.)

* **Gwiazdka** się zbliża, a z nią mimowolnie nasuwa pytanie, czem obdarzyć najbliższych, czem otoczyć choinkę na stole gwiazdkowym. W ciężkich chwilach doświadczeń, jakie naród nasz przechodzi jedyną pociechę i najzdrowszy pokarm duchowy dać nam może dobra polska książka, a przedewszystkiem taka, której treść zaczerpniętą jest z naszych dawnych dziejów. *Dołączony dzisiaj dla Czytelników katalog księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu* zawiera obfite działy książek przeznaczonych dla młodzieży i ludu, treści pouczającej, przystępnej, a które w barwnych słowach i życiem tryskających obrazach wprowadzają nas w dawne lepsze i bohaterskie nasze czasy.

Na szczególną uwagę zasługują między innemi powieści Milewskiej: Złote ziarna i Krwawe blizny lub Dzirzyta Inne czasy, inni ludzie. Przed laty a wreszcie przepięknym wierszem napisana historya męczeńskiego naszego narodu: Tysiąc lat pieśni z przeszłości.

Wszystkie inne działy, jak gospodarstwo, książki lecznicze, historyczne, ostatnie nowości, a nawet teatralne zawierają setki tytułów i świadczą najlepiej o rozmiarach i zaopatrzeniu się księgarni.

Przy tej sposobności przypominamy publiczności polskiej o świeżo wydanym katalogu nut tejże firmy, która znacznie powiększyła swe zapasy, uzupełniając je przedewszystkiem polskiemi utworami.

Nekrologia.

† Ś. p. *ks. Franciszek Włoszkiewicz*, proboszcz w Skalmierzycach i dziekan dekanatu ołobockiego, dnia 1-go b. m. w Skalmierzycach, przeżywszy lat 68. R. i. p.

† Ś. p. *z Janiszewskich Mikołajowa Radońska*, dnia 29-go z. m. w Poznaniu. R. i. p.

† Ś. p. *Józef Koszcząb*, emerytowany nauczyciel, dnia 30-go z. m. w Wąbrzeźnie (Prusy Zachodnie) przeżywszy lat 81. Pogrzeb odbył się w Trzemesznie dnia 3-go b. m. R. i. p.

† Ś. p. *Kazimierz Dabiński*, dnia 1-go b. m. w Poznaniu, w 25-ym roku życia. R. i. p.

† Ś. p. *Barbara z Koleudowiczów Lisiecka*, dnia 2-go b. m. w Poznaniu. R. i. p.

† Ś. p. *Antoni hr. Stadnicki*, sekretarz ambasady austryackiej, zakończył życie w Kairze, przeżywszy lat 32. R. i. p.

† Ś. p. *Ludwik Slaski*, dnia 1-go b. m. w Konstancyi, przeżywszy lat 50. Pogrzeb odbył się w Trzebczu dnia 6-go b. m. R. i. p.

Nasza ofiarność.

Na fundusz im. ś. p. Najprzewielebniejszego Ks. Arcybiskupa Dr. Floryana Stablewskiego — na stałe popieranie nauki języka ojczystego dla dziatwy polskiej — złożyli w naszej redakcyi: Wydawnictwo „Pracy“ 25 mrk. pp. A. Łucka ze Stanisławowa (Galicya) 1 mrk; robotnicy z Bruckhausen pracujący na hucie za pośrednictwem druha Kochowicza 10,80 mk.; St. Guzek z Charlottenburga 15 mrk. i to 12 mrk. zebrane na posiedzeniu Sokolic oraz 3 mrk z kasy Towarzystwa.

Dziękujemy najserdeczniej pięknym Sokolicom z obczyzny za nadesłaną ofiarę na „głód duchowy“ dla dziatwy polskiej.

Czołem!

Gorącą zanosimy prośbę do Czytelników naszych, ażeby nadsyłali nam jak najliczniejsze choćby małe ofiary na cel tak szlachetny a tak niezbędny, bo na obronę naszego najdroższego skarbu — naszego języka.

* * *

Na Czytelnie ludowe zebrano na weselu panny Małgorzaty Heigelmann z panem Wincentem Wielochem, które się w domu gospodarza, ojca młodej panny, p. Tomasza Frąckowiaka w Jankowie odbyło, 13,50 mkr.

Naród Polski
pod obcem panowaniem.

Opowiedział
Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

Błysnęły światła, otworzyły się wszystkie okna, ulice zapełniły się tłumami ciekawych. Tysiąc francuskich strzelców konnych otoczeni zostali jakby falą ludzi, którzy częstowali ich, czem, kto mógł, ściskali ich za nogi, całowali konie, łzy radosnego wzruszenia i rozczulenia płynęły z oczu tak Polaków jak i Francuzów. W mgnieniu oka zajaśniały okna wspaniałą iluminacyą, na którą ponuro spoglądał nieprzyjaciel z brzegów Pragi, działami najeżonych, a na ulice przynoszono stoły, przy których odbywała się prawdziwie braterska uczta przez noc całą. [1]).

Wreszcie dnia 28-go listopada przybył korpus generała Davoust i Joachim Murat książe Bergu i Juliaku, szwagier Napoleona odbył uroczysty swój wjazd do Warszawy w towarzystwie księcia Józefa Poniatowskiego. U bram stolicy witała go deputacya, cechy z chorągwiami i niezliczone tłumy ludności, które nieopisanym uniesione zapałem wydawały grzmiące okrzyki radości.

I uszczęśliwieni a wielce rozciekawieni mieszkańcy Warszawy zaczęli podawać sobie z ust do ust nowe z dnia wiadomości:

— Mamy więc nowe, tymczasowe rządy francuskie!

— Na czele tych rządów stoi namiestnik cesarski, który się mianuje: „Joachim, z Bożej łaski wielki książe bergski i admirał francuski!“

— Nowa władza wydała już w imieniu Napoleona pierwszy dekret, zaprowadzający *system kontynentalny* przeciwko Anglikom!

— Drugi dekret znosi rządy pruskie i ustanawia *Izbę najwyższą wojenną i administracyjną*, jako też *Izbę najwyższą sprawiedliwości!*

Tak więc w miejsce pruskiej kamery i regencyi warszawskiej były od 1-go grudnia (1806 r.) nowe rządy; w których prezydentem miasta i naczelnikiem policyi został Joachim Moszyński a Kochanowski prezesem Izby administracyjnej [2]). Wszystkie nowe władze organizował wraz z Muratem czynny, gorliwy i niezmordowany Wybicki, który wskazywał osoby odpowiednie do piastowania urzędów publicznych, który niestety w społeczeństwie naszem, tem swojem obywatelskiem, bezinteresownem działaniem budził nie uznanie i zadowolenie, ale niesmak i zawiść [3]).

[1]) Sokołowski, IV, 1323; Morawski, VI, 61; Limanowski, 50.

[1]) Sokołowski, IV, 1323, 1324. — Według Morawskiego (VI, 63) prezesem Izby wojennej był Gutakowski, w. podkomorzy litewski, prezesem Izby sprawiedliwości Ossoliński, starosta Drohicki. Na czele municypalności miał stanąć Kiliński, ale sam ustąpił miejsca Wegneckiemu. Wszystkie nowe władze działały w imieniu Napoleona a pod kierunkiem hr. Daru, głównego intendenta wojsk francuskich. — Już dawniej (od 7-go listopada) z rozporządzenia Wybickiego stali na czele zarządu narodowego w Poznaniu i Kaliszu, St. Breza i Piotr Bieliński, w. pisarz koronny. —

[2]) Ten Wybicki, który działał z polecenia Napoleona, był dla wielu solą w oku. „Mazurom, Wielkopolanom i magnatom w głowie nie mogło się pomieścić Wybickiego panowanie.“ A przecież w czasie, gdy wszyscy popadli w zwątpienie i zniechęcenie, on nadziei nie stracił, rąk nie opuścił, lecz wytrwale dla ojczyzny poświęcał życie swe i majątek i tylko dla odzyskania niepodległości Ojczyzny pracował, pędząc na obczyźnie życie tułacze o chłodzie, głodzie i w niedostatku. Gdy tymczasem ci, co do-

Waryat.

Przekład z angielskiego.

(Dokończenie.)

Spacerowałem po ogrodzie, ale zawsze w towarzystwie dozorcy. Od czasu do czasu lekarz obiecywał mi, że mnie niezadługo wypuści. A jednak chociaż cel, dla którego tak ciężko pracowałem, zdawał się blizki, czułem nieprzezwyciężoną ochotę do ucieczki i nie chciałem czekać na upokarzające uwolnienie. Dzień i noc wyglądałem sposobnej chwili. Sposobność prędko się nadarzyła.

Pewnego poranku, kiedy przechadzałem się z dozorcą po ogrodzie, kto przychodzi? Doktór, i co robi bezmyślny głupiec? Każe dozorcy odejść, mówiąc, że sam ze mną zostanie.

Oh, jakże moje serce biło, skakało we mnie, gdy to mówił! Ale stałem cicho i spokojnie, nadsłuchując, jak szmer kroków dozorcy cichnął coraz bardziej...

Mówiłem panu, że tor kolejowy przecinał koniec ogrodu. Do tego właśnie punktu zbliżałem się, jakby od niechcenia, a doktór szedł obok mnie.

— Jaki śliczny dzień, wszystkim nam wyjdzie na zdrowie — zagaił rozmowę lekarz.

Szedł z rękami w kieszeniach i pobrząkiwał złotem — tem złotem, którego tak bardzo potrzebowałem.

— Mam nadzieję, że lato będzie pan już mógł przepędzić u siebie — ciągnął dalej.

Taki wyglądał wesoły, taki uśmiechnięty, że nienawidziłem go jeszcze bardziej, niż kiedykolwiek. Nie ufałem sobie, żeby mu odpowiedzieć i nie podniosłem nawet na niego oczu. Gdyby ujrzał mój wzrok, ręczę, żeby odkrył mój zamiar. Doszliśmy do końca ogrodu i patrzaliśmy na szyny kolejowe. Tylko nizki płot przedzielał nas od toru. W jednej chwili rzuciłem się na lekarza.

— Umieraj! — krzyknąłem — umieraj! Jestem waryatem, waryatem, ale mądrzejszym od ciebie.

Miałem siłę dziesięciu ludzi. Schwyciłem go w pól i rozbiłem mu czaszkę o pień pobliskiego drzewa. Oh! co za rozkoszna zemsta! Pięścią starłem mu uśmiech z twarzy, którejby teraz nie poznały jego własne dzieci. Tańcowałem, skakałem, śmiałem się głośno. Nagle usłyszałem oddalony świst lokomotywy.

Nie miałem chwili do stracenia. Wyrwałem mu zegarek z kieszeni i woreczek ze złotem, a potem ha! ha! ha! zawlokłem ciało na szyny i pociąg przejechał po niem gniotąc je na miazgę.

To mi się nazywa zemsta! Czy kto inny jak waryat spisałby się tak chwacko? Powiedz pan, powiedz pan, co?

Skostniałem z przerażenia i słowa wymówić nie mogłem.

— Teraz chcesz pan wiedzieć, jak się tu dostałem? — mówił po chwili maniak, już zupełnie spokojnie.

— Oto, widzisz pan. Doktor jeszcze przed walką zrzucił futro. Włożyłem je na siebie i z podniesionym kołnierzem przeszedłem tuż koło odźwiernego, nikt mnie nie poznał — wzrost mieliśmy ten sam prawie z doktorem.

Raz wyszedłszy z tego domu — oh co za straszny i okrutny dom — zdawało mi się, że dostałem skrzydeł: leciałem, nie szedłem. Ludzie na ulicach oglądali się za mną, ale co mnie to obchodziło Dobiegłem do stacyi i zmieszałem się z tłumem. Zapłaciłem za bilet, jak inni ha! ha! pieniędzmi doktora. Ale na złocie zauważyłem krew. Chciałem ją zetrzeć, ale nie mogłem: występowała znowu. Myślałem, że się spostrzegą, gdy będę płacił, lecz widocznie w pospiechu nie zauważyli i teraz jestem wolny! wolny! No, powiedz pan, jak pan sądzisz, czy jestem waryatem?

On to naleganiem swojem zdziałał, że książę Józef Poniatowski, który złożył dowództwo milicyi warszawskiej i zupełnie się usunął, teraz zajął się organizowaniem siły zbrojnej, a mianowicie legii warszawskiej (7 grudnia).

Energiczny Wybicki, przybywszy do Warszawy, chciał rozprawić się z Prusakami i okazać im swą zemstę. Podążył więc do pałacu Krasińskich, gdzie mieściły się rządowe władze pruskie i wyrzucił stamtąd obraz monarchy.

Potem zgromadził „na municypalności [1]) pozostałych urzędników pruskich, a oddalając ich, rozprawił się z nimi krótko, krzyknąwszy poprostu:

— Fort stąd, wy derdidasy! [2])

I tyle tylko było tej zemsty narodu. Żadnej innej kary nie otrzymali niegodziwi Niemcy, co przez kilkanaście lat kraj ssali i narodowi urągali. Władze narodowe polskie w poczuciu swej wyższości i szlachetności nie pozwoliły pozostałym Niemcom nawet w niczem dokuczać, a porządniejsi Niemcy, którzy poduczyli się trochę po polsku, pozostali przy piastowanych urzędach. To też chytrzejsi i więcej przewidujący, okazując uległość Polakom, śmiali się w kułak i szeptali między sobą:

— Cicho bruderki, czekajmy spokojnie, w Polsce wnet się zmieni, i my tu znowu przewodniczyć będziemy!...

Kiedy sam Napoleon wszedł do ziem polskich, dopiero objawy niekłamanej radości i nadzwyczajnego dlań zachwytu i uwielbienia widoczne, głośne były wśród ożywionych miast i wsi. Od samej granicy, od Międzyrzecza witały go tłumy okrzykami radości, po drogach występowały orszaki jasnych dziewic i obrzucały go kwiatami, po kościołach biły dzwony na jego powitanie, księża uroczyście ubrani, ze święconą wodą, wychodzili przed kościoły, młodzież z wyższych rodzin strojnie ubrana, konno, pod wodzą Umińskiego otaczała powóz cesarza i towarzyszyła mu w tym tryumfalnym pochodzie [3]).

Napoleon, przyjmowany wszędzie jako bóstwo, zbliżył się do Poznania, gdzie na powitanie zbawcy Polski przygotowano cztery wspaniałe łuki. A gdy w nocy dnia 27 listopada stanął w tem mieście, witali go patryotycznemi przemowami Radzimiński i Sokolnicki, ci sami, którzy przed trzynastu laty (r. 1793) witali przybywających do tego miasta Prusaków. Napoleon, odpowiadając, powtórzył to co przyrzekał już w Berlinie i dodał:

— Z ogłoszeniem niepodległości narodowej zaczekam, aż się przekonam, że naród polski gotów ją szczerze poprzeć!

(Ciąg dalszy nastąpi).

tąd żadnego w takiej mozolnej pracy udziału nie brali, teraz, gdy marzenia patryotów były bliskie urzeczywistnienia, ukazywali się i sięgali po władzę i godności, do których jedynie czuli się uprawnieni. Byli nawet później wybitni pisarze, którzy tego działania Wybickiego i poświęcania się dla ojczyzny nie chcieli podać do wiadomości potomnych. Tak uczynił Kajetan Koźmian w „Pamiętnikach", wydanych w Poznaniu w r 1858. — Sokołowski, IV, 1323, 1324.

[1]) *Municypalność*, z łac. urząd miejski, zwierzchność miejska.

[2]) Pamiętniki Niemcewicza (Tygodn. illustr. warsz. r. 1906, nr. 45.)

[3]) Morawski, VI, 61, 62, 63.

Zbliżył swoją twarz do mojej i głos jego z przyciszonego przeszedł w ostry, świszczący ton, który mnie dreszczem przejmował. W wagonie zapadła tymczasem prawie zupełna ciemność. Przy płomyku ledwie tlejącej kolejowej lampki mogłem jednak dojrzeć nienaturalny błysk oczu mojego sąsiada, podobny do fosforescencyi próchna lub zgniłych ryb. Chciałem coś odpowiedzieć. Kiedy się namyślałem, jak wybrnąć z kłopotu i nie narazić mojego interlokutora zbyt szczerem wypowiedzeniem sądu, szaleniec powtórzył pytanie tonem jeszcze bardziej niecierpliwym.

— Tak — wybąknąłem w końcu drżącemi ustami — zdaje mi się, że pan jest waryatem.

— Dowiodę panu tego — szepnął, nachylając się nademną. — Jak pan myślisz, jak panu potrafię dowieść?

Potrząsnąłem głową.

— Nie wiem — wyjąknąłem- omdlewając z przerażenia.

— Mordując cię, tak jak tamtego... Myślisz, że cię zostawię przy życiu po tem, co powiedziałem? Żebyś mnie wydał i zawiózł z powrotem do... O! nie! waryaci to zuchy, waryaci ostrożni, waryaci silni!
chy, waryaci ostrożni, waryaci silni!

Wiedziałem, że przemocą niczego nie dokażę. Na szczęście w prawdziwem niebezpieczeństwie zachowuję przytomność umysłu. I teraz jej nie straciłem. Zimna krew mi wróciła.

— Czekaj pan — odrzekłem spokojnie, patrząc mu prosto w oczy. — Jeszcze mi wszystkiego nie opowiedziałeś. Jeżeli postanowiłeś mnie zabić, trzeba, żebyś mi dokończył swoją historyę.

— To prawda — odparł obłąkany z pewnem zajęciem -- na czem stanąłem?

— Nie wytłomaczyłeś mi pan roli lorda Palmerstona i asa treflowego w tem wszystkiem.

— Nie myślałem, żeby to pana obchodziło, odpowiedział nieufnie.

— Więcej niż wszystko inne.

Lampa wagonowa gasła, a na dworze panował zupełny mrok. Wiedziałem jednak, że niebawem pociąg dojedzie do Londynu. Jeżeli potrafię tylko odwrócić uwagę szaleńca na jakiś czas, będę uratowany — postanowiłem więc utrzymać rozmowę do końca.

— Lord Palmerston zaczął, as treflowy dokończył, wiesz teraz wszystko, zbył mnie szaleniec podnosząc się z siedzenia.

— Czy znałeś pan lorda Palmerstona? — zapytałem.

— Czy go znałem? Wyhodowałem go i wyćwiczyłem. Kochałem go jak własne dziecko, więcej daleko, bo gdybym miał własne dziecko, tobym mu głowę ukręcił, czuję, żebym mu głowę ukręcił.

Spojrzał w moją stronę i zaczął nerwowo przerabiać palcami, czułem, że lada chwila rzuci się na mnie.

— Ale lord Palmerston? — zapytałem.

Wzdrygnął się.

— Ah! — odrzekł posępnie — to był straszny zawód, czy nie tak?

— Jeszcze mi pan tego nie opowiedział. Więc taki bogaty lord, a krzywdę panu wyrządził?

— Przegrałem! przegrałem! przegrałem przez niego! Postawiłem za nim pół majątku i on przegrał! Ale słuchaj! — i chwycił mnie za ramię — struli go ostatniej nocy przed samym biegiem.

— A więc to był koń? — wykrzyknąłem.

— Tak, powiedziałem to na samym początku, ale pan jak widzę nie uważasz, nie interesujesz się.

— Zaręczam, że mnie pańskie opowiadanie ogromnie interesuje — odparłem skwapliwie — mów pan dalej.

Czerwony znak.

13) Z włoskiego tłumaczył A. P.

(Ciąg dalszy).

Po chwili szli obydwaj ku bramie, Hamilton zapłacił za powóz, kazał rzeczy zanieść do karczmy i udał się zaraz z pułkownikiem do grobowca, podziwiając przepyszne klomby krzewów i dosyć jeszcze świeże ogromne trawniki, otaczające zameczek.

Grobowiec, owe arcydzieło jedyne w całej Anglii, leżał również na małym pagórku, wśród odwiecznych dębów i jodeł. Był to rzeczywiście wspaniały gmach — z różowego i białego marmuru, na tle ciemnych jodeł, przedstawiał widok prawdziwie zachwycający. Hamilton musiał w duszy przyznać, że ci, którzy grobowiec ten zbudowali, byli artystami w całem znaczeniu tego słowa, i że Caradini, któremu powierzono najtrudniejszą przy tem robotę, musiał być geniuszem.

Pułkownik zatrzymał się na chwilę, wydał jakiś rozkaz jednemu z robotników, poczem wszedł z Hamiltonem do mauzoleum.

Jeżeli widok zewnętrzny był już tak bardzo wspaniały, to wewnętrzne urządzenie przewyższało jeszcze wszelkie oczekiwania. Sciany były z rozmaitych, kolorowych marmurów, kopułę całą złoconą podtrzymywały koryncka filary, a sufit zdobiły złote anioły i obrazy kilku patronów Anglii. Przez cztery ogromne łukowe okna o kolorowych szybach wpływały jasne promienie słońca, rzucając barwne cienie na posadzkę, złożoną z kwadratów białego i czarnego marmuru.

Hamilton był olśniony tym przepychem i stał przez chwilę w milczeniu, nie mogąc się nasycić pięknością tego przybytku umarłych. Lecz pułkownik nie zostawił mu dużo czasu do patrzenia.

No, i co pan mówisz na to? — zawołał. — Czegoś podobnego nie zobaczysz tak prędko!

— Wierzę! Nie spodziewałem się nigdy ujrzeć takiego przepychu! — odpowiedział Hamilton z głębokiem przekonaniem.

W tejże chwili dało się słyszeć uderzenie młota.

— Panie Caradini, — zawołał pułkownik, — myślę, że mógłbyś pan skończyć na dziś robotę!

— Ah, pan pułkownik, — odrzekł w dali jakiś dźwięczny głos, i zaraz potem ujrzał Hamilton, którego oczy przywykły już do półzmroku, jakąś wysoką postać, zbliżającą się ku nim.

— Ta sama postać, te same lekko pochylone ramiona, — pomyślał Hamilton. — Mógłby to rzeczywiście być pan Feliks!

— Pozwól pan przedstawić sobie pana Franka Middletona, — rzekł pułkownik.

— Jest to historyk, który pragnie skopiować napisy na naszych pomnikach!

Caradini podał Hamiltonowi rękę z uprzejmym uśmiechem.

— Pan Middleton, — mówił pułkownik dalej, — zamierza wydać dzieło o najsławniejszych pomnikach angielskich, i naturalnie zaczyna od siedziby Vaustonów!

— Ród Vaustonów jest stary i potężny — sława jego zaczyna się już w średnich wiekach, — odpowiedział rzeźbiarz uprzejmie, wskazując ręką posągi stojące wzdłuż ścian grobowca.

Jeszcze pięć minut tylko go pohamować, a będziemy na miejscu, ale przez pięć minut można także znaleść się z roztrzaskaną głową pod kołami pociągu — pomyślałem sobie.

— Już wszystko co miałem do opowiedzenia — mruknął mój towarzysz ponuro — przegrał, przegrał, tak się zakończyło.

— Ale co ma to wspólnego z asem treflowym?

— As treflowy? A panu co do tego?

— Obiecałeś pan opowiedzieć, bardzo mnie zaciekawia ta sprawa — odparłem przekonywająco — opowiedz mi pan o asie treflowym.

— No więc słuchaj pan — odparł maniak — po przegranej na Palmerstonie, owładnęła mną rozpacz. W karty podówczas nie grywałem, bałem się ich instynktownie. Ale chodząc często do klubu, widywałem, jak moi towarzysze wygrywali nieraz w przeciągu paru godzin stosy banknotów i złota i z czasem nabrałem żyłki do hazardu.

— Więc grałeś pan?

— Grałem. Przez cały tydzień wygrywałem. Oh! to złoto, błyszczące złoto i szeleszczące papiery, jakie znosiłem do domu przez tydzień! Wygrałem trzy razy więcej, niż wynosiła wygrana na wyścigach. Ale później szczęście się odwróciło.

— Przegrałeś pan?

— Wszystko, co wygrałem, przegrałem jednej nocy. Ale nie dosyć: powróciłem następnego dnia i straciłem wszystko, co posiadałem. Nie! wszystko, co posiadałem, nie wystarczyłoby na zapłacenie przegranej. Ale wiem dlaczego Ten stary, który siedział naprzeciwko mnie, to mój zażarty wróg. Czyhał tylko na moją zgubę, wyczytałem mu to w oczach.

Zatrzymał się i ciężko odetchnął.

W tem rozległ się przeciągły świst lokomotywy. Szaleniec zadrżał i nadsłuchiwał — wiedział, że dojeżdżamy — nagle zerwał się ku mnie.

— Co dalej? Co dalej? — krzyknąłem — gdzie as treflowy?

— Trzymałem go w ręku, mogłem wygrać krocie! Stała ich ciżba koło nas i zakładali się. Ten stary patrzał i uśmiechał się. Bodaj zginął. Spostrzegł. A kiedy pokazałem asa treflowego, wstał i nazwał mnie złodziejem!

Swiatło licznych latarni wpadło w okna wagonu. Dzięki Bogu! dojechaliśmy!

Waryat wsunął się w kąt przedziału, zmieszany widokiem światła i ruchu podróżnych. Ja zaś kurczowo chwyciłem za klamkę od drzwiczek i pchnąwszy je otworzyłem.

— Co pan robi? — spytał mnie szaleniec niespokojnie, półgłosem.

— Ratunku! Waryat! — krzyknąłem, wyskakując z wagonu.

Dwóch ludzi stało przy baryerze, uważnie patrząc w twarze pasażerów. Na mój krzyk podbiegli.

— Gdzie? Gdzie? — zapytał mnie starszy z nich. My tu na niego czekamy; nadszedł telegram, że uciekł z zakładu obłąkanych w X., gdzie zabił doktora.

Przez ten czas szaleniec wyśliznął się z wagonu i stanął bezradnie koło latarni, nie wiedząc, co począć.

Co do mnie, mogłem tylko wskazać na niego w milczeniu, a gdy go chwytano, padłem bez zmysłów na ziemię.

(Koniec.)

— Historya kraju zawiera się zwykle w historyi starych rodów, takich, jak ten, — zauważył Hamilton, uznając za potrzebę powiedzenia czegoś takiego, co było grzecznością względem pułkownika a co zarazem wskazywało zawód, do którego pozornie należał.

— Jesteś pan także artystą? — zwrócił się Caradini do niego.

— Nie, — odrzekł, — ja sam nie rysuję — wszelkie rysunki wykona mój przyjaciel. Ja skopiuję tylko napisy. Mam nadzieję, że nie będę panu przeszkadzał! Zostanę kilka dni!

— Ależ przeciwnie, przeciwnie, — zawołał Caradini żywo. — Cieszę się bardzo na towarzystwo pana! Dotychczas pracowałem z kilku memi kolegami, lecz od tygodnia wyjechali wszyscy, i muszę pracować sam. Jak to nudno!

— W takim razie i ja się cieszę, że uniknę samotności i nudów. Samotność w grobowcu, to rzecz nie bardzo przyjemna!

— Otóż to pomnik lorda Henryka Vaustona, — przerwał pułkownik. Drżał on już z niecierpliwości opowiadania o sławnych swych przodkach.

— Kto był lord Henryk? — zapytał Hamilton.

— Syn lorda Patryka. Został zabitym przez Saracenów, gdy z Ryszardem Lwie Serce poszedł na wojnę krzyżową do Palestyny.

Hamilton patrzał z zajęciem na postać śpiącego rycerza z tarczą na piersi i mieczem, który był prawie tak długi jak cały rycerz.

— A to jest Tomasz Vaustone, — mówił pułkownik dalej, — biskup za panowania królowej Maryi. Ten zaś pomnik wystawiono Ryszardowi Vaustonowi, który z Drakem był w Indyach Zachodnich i który później został admirałem.

Hamilton słuchał z pozornem zajęciem nieskończonych opowiadań pułkownika o rozmaitych sławnych wojownikach, marynarzach, biskupach i dygnitarzach, w rzeczywistości zaś obserwował każdy ruch Caradiniego i byłby wolał rozmawiać z nim, chociażby o najobojętniejszych przedmiotach. Słońce miało się już ku zachodowi — w grobowcu prawie zupełnie było już ciemno, tak, że pułkownik nie mógł dokładnie rozpoznawać napisów i Hamilton odetchnął lżej, gdy kasztelan zamku przybył z pękiem kluczy na znak, że grobowiec musi być zamkniętym.

W ogrodzie pożegnał pułkownik Caradiniego i Hamiltona i wrócił do swej willi, obydwaj zaś nowi znajomi udali się do karczmy. Hamilton bardzo był rozmowny i ożywiony i starał się pobudzić tem do rozmowy Caradiniego, co mu się też nadspodziewanie udało.

W małej salce nikogo oprócz nich nie było przy obiedzie, to też znajomość ich stała się od razu ściślejszą i przybrała nawet pewien pozór przyjaźni. Caradini sprowadził z Londynu włoskie wino Ehanti, które Hamiltonowi smakowało tak, że pił więcej, niż zwykle, pomimo to czuwał przez cały wieczór nad Caradinim, jak kot nad myszą, chcąc koniecznie zbadać tajemnicę tożsamości tego Włocha. Lecz Caradini miał tak wązkie mankiety, że po nad dłonią nie widać było ciała ani na cal, to też było zupełnie niemożliwem stwierdzić, czy ma na ramieniu poniżej łokcia ów znak tatuowany, którego Hamilton tak gorliwie poszukiwał!

Musiał więc czekać na lepszą sposobność!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Śmierć za wiarę.

Może niema narodu, któryby od istnienia Kościoła Bożego, równą stałość w wierze okazał, jak Wandejczycy podczas nieszczęsnej rewolucyi francuzkiej, która pod koniec ośmnastego wieku, tylu nieszczęść stała się przyczyną. Z wielu przykładów męstwa i wierności mieszkańców Wandei, przypominających żywo pierwsze czasy Kościoła, kiedy to wyznawcy Jezusa prześcigali się nawzajem w stałości w wierze, jeden tylko przytoczymy.

Niedaleko miasta Jaune (czytaj Żon), leży wioska Bas-Briace (Ba-Brias), u której wstępu przedtem stał krzyż Zbawiciela. Republikanie schwyciwszy jednego z wieśniaków, nazwiskiem Ripoche (Riposz), żołnierza chrześcijańskiej armii, po stronie króla stojącej, przywiedli go do krzyża i tak się doń odezwali:

Pojmaliśmy ciebie z bronią w ręku! Umrzeć więc musisz. Patrz, tam twoi chata, w której na świat przyszedłeś, gdzie dziś jeszcze stary twój ojciec żyje. Życie jednak lub śmierć od ciebie zależą — jeżeli nas usłuchasz, będziesz żył.

Wandejczyk z żalem spojrzał na swą chatę rodzinną, łzy zakręciły mu się w oku i zapytał:

— Czego żądacie odemnie, abym życie me ocalił?

Na to odpowiedział mu republikanin:

— Weźmij siekierę i porąb ten krzyż.

Słysząc te słowa, przyjął Ripoche podaną sobie siekierę. Wszyscy jego towarzysze niedoli, równie z nim pojmani, zadrżeli, i sądząc, że krzyż porąbie, z niemą boleścią odwrócili swe twarze, nie chcąc patrzeć na shańbienie godła ich wiary, przez współrodaka.

A Ripoche? — Ripoche wzniósł siekierę w górę, zasłonił sobą ukrzyżowanego Zbawcę — i potrząsając nią zawołał donośnym głosem:

— Biada temu, kto rękę swą ściągnie na godło zbawienia! Do ostatniego tchu bronić będę krzyża mego Zbawiciela, Jezusa Chrystusa!

Widząc to republikanie, nie odważyli zbliżyć się do obrońcy krzyża Chrystusowego. I stał chwilę z wzniesioną siekierą, podobny do anioła zemsty, co każe zniewagę wyrządzoną imieniu Bożemu.

Chwilkę tylko trwało przerażenie w szeregach republikanów. Uderzyli dzielnego Ripoche'a. Krew już trysła zeń strumieniami — a jednak trzymał się oburącz krzyża. Wreszcie oderwali go od krzyża i przykładając do jego serca, powtórnie się doń odezwali:

— Porąb to godło zabobonne, a życie ci darujemy.

— To znak mojego zbawienia — odpowiedział Wandejczyk — i objął rękoma krzyż. Oderwano go od krzyża i skłuto bagnetami. Resztek sił dobył jeszcze męczennik i kostniejącemi rękoma obejmując Ukrzyżowanego oddał swego mężnego ducha w ręce Boga.

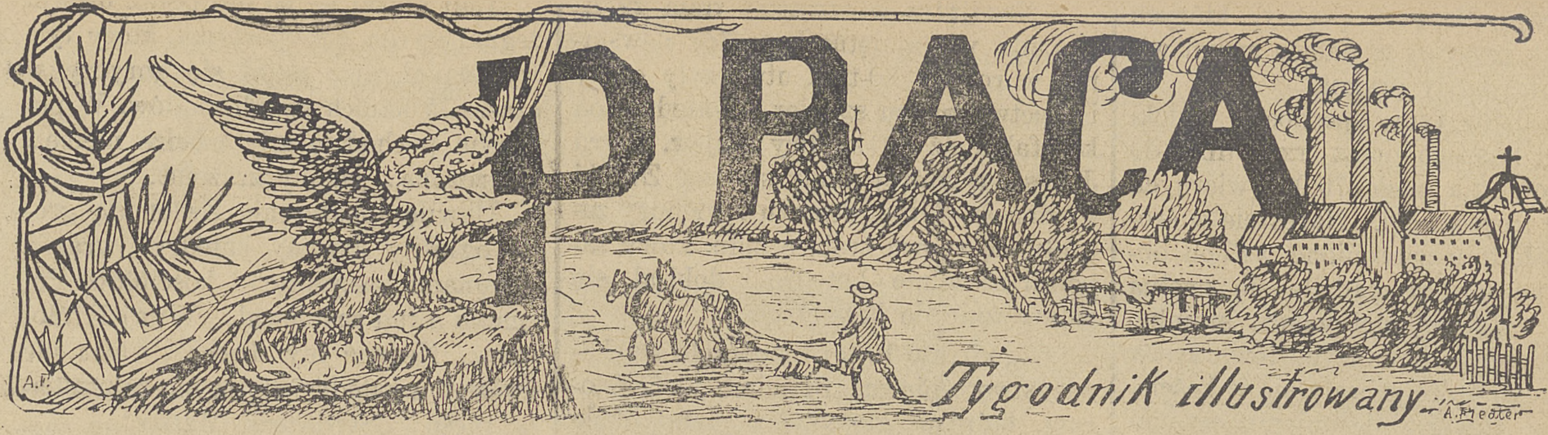
Złote myśli.

Gdy Bóg stworzył żelazo, zadrżały ze strachu drzewa. Czemu drżycie? zapytało ich żelazo. Dopóki się kawałek drzewa, zdradzając was, ze mną nie połączy, aby utworzyć topór, nic was złego odemnie spotkać nie może.

Księga Midrasz.

* * *

Natura daje życie, a wychowanie daje życie dobre. *Fr. Karpiński.*



Z bieżącej chwili.



Najprzew. ks. Biskup Dr. Edward Likowski,
administrator dyecezyi poznańskiej podczas opróżnienia stolicy arcybiskupiej.

Uroczystości pogrzebowe

śp. Arcybiskupa
FLORYANA STABLEWSKIEGO
Prymasa Polski

były objawem szczerego żalu dyecezyan po stracie nieodżałowanego Zwierzchnika, a zarazem wspaniałą manifestacyą społeczeństwa polskiego, odczuwającego, iż straszna walka z rządem skróciła pasmo żywota ciężko chorego Dostojnika.

Kapituła poznańska zaraz po zgonie Arcybiskupa wydała „porządek pogrzebu'', którego też trzymano się ściśle podczas uroczystości żałobnych. Już od poniedziałku rana spieszyły tłumy, aby poraz ostatni zobaczyć jeszcze zmarłego Arcybiskupa. Leżał on w trumnie metalowej na środku sali pałacowej na piętrze, przybrany w fiolety i infułę a ozmaki godności jego, krzyż i pastorał, oparte u wezgłowia, dawały poznać, kogośmy na zawsze stracili. Przykre przytem sprawiało wrażenie, że nie marszałkowie katedralni i inna służba dbali o porządek w pa-

łacu, lecz policyanci pruscy, których Dostojnik przecież w pałacu swym widzieć bodaj kiedy pragnął.

Zwiedziło tym sposobem zwłoki Prymasa naszego przez trzy dni do środy południa około 70,000 wiernych z miasta i prowincyi. Nareszcie w środę po południu zabroniono wstępu obcym, a na sali gromadziła się zwolna rodzina, reprezentanci władz, szambelani papiescy, deputacye towarzystw i instytucyi, które zebrały się w kościele Panny Maryi. W imieniu cesarza Wilhelma zjawił się prezes naczelny p. Waldow, który jako zastępca cesarza szedł też później zaraz za trumną, a więc przed rodziną. W katedrze tymczasem i na placu tumskim od wrot katedralnych utworzyły bractwa, cechy i sztandarowi towarzystw szpaler dla procesyi, która przenieść miała trumnę z pałacu do katedry.

Duchowieństwo i obie kapituły katedralne wraz z biskupami przybyłymi zebrały się o godzinie $3^1/_4$ w zakrystyi i ztamtąd ubrane w rokiety i komże udały się w procesyi do pałacu. Eksportował Nieboszczyka Prymasa biskup ks. Dr. Likowski, który, nawiasem dodając, przeżył już jako kapłan trzech arcybiskupów gnieźnieńskich i poznańskich a mianowicie Ledóchowskiego, Dindera i teraz naszego Prymasa. Około 100 sztandarów uczestniczyło w pochodzie. Po odśpiewaniu Nieszpór żałobnych ruszyła eksporta do katedry, a towarzyszyły jej dzwony wszystkich miejscowych kościołów, dając wyraz ogólnemu żalowi zgromadzonych rzeszy, których tysiące tysięcy zaległy plac katedralny. Gdy złożono Zwłoki na katafalku, otoczyło Duchowieństwo boki i tył trumny, rodzina została przed trumną, a Władze i deputacye obywatelstwa posiadły w lożach od strony zakrystyi. Biskupi dr. Rosentreter z Pelplina, Likowski z Poznania, Andrzejewicz z Gniezna, Nowak z Krakowa i Arcybiskup ormiański Teodorowicz ze Lwowa zasiedli w stalach od ołtarza, kanonicy tamże na swych miejscach, a p. Waldow jako zastępca cesarza rozpostarł się na osieroconym miejscu Prymasa, co ogólnie podpadło. Mowę pogrzebową wygłosił ks. Michalski, było widać, że mowa ta nie była nieskrępowana przestrogami rządu; mimoto była to mowa polska, ciepła, patryotyczna i porywająca tak dalece, że piszącemu a zapewne i innym starszym obywatelom łzy wycisnęła z oczu. To też podajemy mowę tę ku zbudowaniu Czytelników na innem miejscu w całej rozciągłości.

Śpiew rytualny Duchowieństwa, którego naliczyłem wraz z klerykami, około cztery setki, zakończył uroczystość eksporty.

Nazajutrz w czwartek dnia 29 listopada w pamiętną rocznicę powstania w roku 1830-tym utworzyły cechy i bractwa znowu szpaler w katedrze od katafalku aż do kaplicy Najśw. Serca Jezusa, w której miały spocząć Zwłoki Prymasa. Mimo deszczu i wichury zebrały się znowu tysiące ludu, który zapełnił szczelnie katedrę i dobijał się ustawicznie do kościoła.

O godzinie 10-tej rozpoczęło Duchowieństwo śpiewać officium defunctorum, które wygłoszone z piersi około pięciuset kapłanów, było wprost imponujące i trzęsło murami świątyni. Skoro zebrały się władze, deputacye i rodzina, rozpoczęła się uroczysta Msza św. celebrowana przez biskupa Rosentretera w asyście czterech księży i kleryków. W czasie mszy tej wykonał chór katedralny pod batutą naszego szanowanego a zawsze jeszcze dziarskiego dyrektora p. Bolesława Dembińskiego odpowiednie śpiewy, które świetnie wykonane, zadowolnić musiały najwybredniejsze ucho. „Requiem“, „Dies irae“ wykonano wprost artystycznie.

Na kazalnicę wstąpił ks. kanonik Dalbor, który piękną mową, podnoszącą zasługi Prymasa jako Arcypasterza, pożegnał Go imieniem Kapituł Metropolitalnych i wdzięcznych dyecezyan. Uroczyste „Castrum Doloris“ wedle rytuału chowania biskupów wykonał na czele biskupów ks. arcybiskup Teodorowicz ze Lwowa, obchodząc katafalk z kadzidłem i mówiąc przepisane modlitwy.

Po odśpiewaniu ostatniej modlitwy wzięło duchowieństwo trumnę na ramiona i sunęło w poważnym pochodzie przez główną nawę do miejsca spoczynku — wyżej wspomnianej kaplicy położonej w prawej nawie od strony pałacu. Szpaler tworzyli księża a było ich tak wielu, że sięgając od katafalku do kaplicy często w podwójnym nawet stać musieli szeregu, otoczeni bractwami od natłoku wiernych. Tuż przed trumną postępowali kanonicy gnieźnieńscy i poznańscy w liczbie 19-tu, za nimi kanonicy z Petersburga, Warszawy, Wrocławia, Krakowa i Wrocławia w fioletowych lub jaskrawo czerwonych rokietach a za nimi szli w pierwszej parze biskupi Andrzejewicz i Likowski, w drugiej biskupi Rosentreter i Nowak, wszyscy w infułach białych żałobnych i czarnych kapach, lecz bez pastorałów jak to przepisuje rytuał.

W końcu kroczył z niezmierną powagą, przejęty znaczeniem chwili Arcybiskup Ormiański jako najstarszy godnością ks. Teodorowicz, żarliwy obrońca polskości w Watykanie.

Lud płakał — bo oto poraz ostatni żegnał swego Arcypasterza, który tyle wycierpiał, tyle napił się goryczy w czasie 15 letnich swych rządów. W ponurym pochodzie szły władze nieme... zamrożone... jakoby zrażone...

Chwilę spuszczenia Zwłok do grobu ogłosiły dzwony katedry wraz z dzwonami wszystkich kościołów Poznania a lud zaśpiewał: „Witaj Królowo“... Nędzne my dzieci.... lecz nie wyszedł z katedry zanim nie zabrzmiała pieśń: „Serdeczna Matko“...

Tak nutą „Boże coś Polskę przez tak długie wieki“... zakończyła się smutna a przejmująca uroczystość pogrzebowa naszego Prymasa....

Dzieci polskie u stóp Arcypasterza rodaka.

Dzieci polskie złożyły w piątek wieczorem hołd Jego Ekscelencyi Ks. Arcybiskupowi Teodorowiczowi. Około godziny 6 wieczorem, kiedy dostojny gość zabierał się już do odjazdu na dworzec, zaroiło się nagle na ulicy Rycerskiej i coraz liczniejsze gromadki dziatwy szkolnej w towarzystwie matek zaczęły się zbierać przed kamienicą ks. Czartoryskiego. Niebawem zapełniło się całe obszerne podwórze do tego stopnia, że z trudnością tylko można się było przecisnąć do przedsionka.

Tam zgromadziło się około 20 dziewczynek w białych sukienkach z bukietami w ręku. Za niemi stanęły półkołem matki, przedstawiciele prasy, panowie szambelan Cegielski, książe Czartoryski, ks. prałat Kłos i poseł dr. Dziembowski. — Około wpół do 7 ukazał się na schodach J. E. Ks. Arcypasterz w uroczystym fioletowym stroju z łańcuchem złotym i krzyżem na piersiach w towarzystwie ks. prałata Koteckiego, proboszcza u św. Jana. Przed nimi kroczyło 2 lokajów ze srebrnymi kandelabrami.

Gdy Ks. Arcypasterz stanął w przedsionku, z szeregu dzieci wystąpiła naprzód córeczka posła dr. Dziembowskiego i po wygłoszeniu stósownej przemowy, wręczyła mu bukiet ze wstęgami, prosząc o błogosławieństwo. Dostojny gość dziękował wzruszony, zaznaczając, że kwiaty i serca dziatwy wielkopolskiej będą dla niego najdroższą pamiątką, jaką z grodu naszego wynosi. Następnie pobłogosławił klęczące dzieci i starszych.

W chwili, gdy zwracał się do dziatwy, czekającej na dziedzińcu, rzuciła mu się do kolan dziewczynka Kazimira Ignasiak, nie strojna w jedwabie i

aksamity, bez kwiatów, w ubogim szarym stroju ludu i wygłosiła następujący wierszyk:

Żegnamy, żegnamy
Jaśnie Wielmożnego
Księdza Arcybiskupa Najłaskawszego
Do nóg upadamy
Pokornie błagamy
Błogosław, błogosław nas!

Niechaj przeżegnają
Jego ręce drogie
Wszystkie polskie dzieci,
Małe i ubogie,
Ten krzyżyk nas zawsze
Od złego obroni
Do cnoty zachęci
Do dobrego skłoni.

Tuż za nią przyklękła córka mistrza szewskiego p. Porankiewicza i drżącym od wzruszenia głosem wypowiedziała piękny wierszyk.

Po wygłoszeniu wierszyków rozległo się głośne łkanie i łzy rozrzewnienia spłynęły po licach nie tylko niewiast, ale także zahartowanych życiem twarzach mężów. Rozczulenie odbijało się też na rysach Ks. Arcypasterza, gdy dziękował i błogosławił te dzieci ludu, które nie kwiaty i wstęgi, lecz gorące serca polskie i żal zbolałych dusz przyniosły mu w dani.

Najwspanialszym jednak był moment, gdy Arcykapłan Rodak ukazał się rzeszom zgromadzonym na dziedzińcu. Z licznych piersi wyrwało się gromkie: niech żyje! Klęcząc przyjęły dzieci błogosławieństwo, poczem odśpiewano chórem pieśń: Witaj Królowo.

Z polecenia Ks. Arcybiskupa rozdzielał ks. prałat Kotecki dziatwie obrazki. Ponownym okrzykiem: niech żyje! zakończyła się wspaniała chwila. Krótko przed siódmą wyjechał dostojny gość powozem p. Kościelskiego na dworzec, zabierając z sobą liczne bukiety, któremi obdarzyła go dziatwa, żegnany nieustającymi okrzykami.

Szermierz polski na zagrożonej placówce.

Bydgoszcz, 25 listopada.

Słysząc i czytając w łamach kilku pism o chylącej się ku upadkowi narodowości polskiej w mieście naszem, czuję się spowodowanym, stan ten, w krótkiej a treściwej korespondencyi, zawierającej także powody tegoż, bliżej określić.

Nasamprzód nadmienić trzeba, że zniemczenie, szybsze tu niż gdzieindziej zrobiło postępy i szersze ogarnęło koła. W żadnej miejscowości nie zdarza się tak często słyszeć o dobrowolnej zmianie rdzennie polskiego nazwiska na niemieckie, a co gorsza, o przechodzeniu katolików do obozu protestantów.

Nigdzie też praca społeczna nie natrafia na tyle przeszkód i trudności, jak w mieście naszem.

A gdzież szukać przyczyny tegoż?

Miasto nasze aż nadto przepełnione urzędnikami naszych najserdeczniejszych, przeszkody stawiane nam na każdym kroku pod względem wynajęcia odpowiednich lokali do posiedzeń i t. d., niewłaściwe pojęcie hasła „swój do swego“ z strony inteligentniejszych, nie udzielanie się inteligencyi w towarzystwach jak kupieckiem, przemysłowem, Sokołów, Kół śpiewaczych i t. d., brak oświecenia i pouczania ludu roboczego i przemysłowego pod względem fachowym i narodowym, a przedewszystkiem brak kierownika, posiadającego odpowiednie wykształcenie i poczucie narodowe, są przyczyną, że narodowość nasza chyliłaby się ku upadkowi, a wiara nasza, coraz to więcej zgubiłaby owieczek.

Bydgoszcz jest zatem najwięcej zagrożona, ale zarazem też i najważniejsza placówka polskości pod zaborem pruskim.

Wytrwałości tylko na obranej przed dwoma laty drodze, a Bóg sprawiedliwy jaśniejszej nam nieomylnie doczekać pozwoli przyszłości.

Pokutujemy, bo nie jesteśmy bez winy, lecz winnych nie należy szukać w szerokich warstwach, tylko w szeregach naszej inteligencyi.

Ona to od Boga samego miała to zlecenie, ten święty obowiązek pielę-



Ks. Arcybiskup Teodorowicz ze Lwowa, przyjmowany przez ludność poznańską ostentacyjnie z głośnemi oznakami czci, uwielbienia i szacunku.
(Zdjęcie dla „Pracy“, wykonane w zakładzie fotograficznym „Rubens“ dawn. E. Mirska w Poznaniu przy placu Wilhelmowskim 3).
(Patrz artykuł p. t.: „Uroczystości pogrzebowe“).

gnowania uczuć narodowych i mianowicie szerzenia oświaty społecznej wśród ludności polskiej.

A żalić się Bogu samemu, jak z świętego tego obowiązku się wywiązała.

Dość kolejno tych panów zapytać, ilekroć w ostatnich 10 latach byli na



Ks. Arcybiskup Teodorowicz ze Lwowa, witany przez deputacyę obywatelstwa i mieszczaństwa w chwili, gdy wysiadł z pociągu. Do trzymającego kapelusz księdza Arcybiskupa przemawia p radzca dr. Chłapowski.
(patrz artykuł p. t.: „Uroczystości pogrzebowe")

zebraniach naszych towarzystw, ile mieli wykładów i odczytów, jak zaopiekowali się biedną, opuszczoną, na pastwę germanizacyi oddaną dziatwą polską!

Dość zapytać pań naszych, z wyjątkiem kilku zacnych i gorliwych Polek — jak wywięzują się z szczytnego powołania kapłanek narodu, czy pomne są słów naszego Libelta, że w ich drobnych rączkach spoczywa przyszłość kraju i narodu.

Zaiste! gdyby Bismark był poznał nasze inteligentki bydgoskie, nie byłby się obawiał onej osławionej tarczy Polek.



Dr. Emil Warmiński.

Naszym paniom hafty i rzeźby dla mężów — najzwyklejsza to ich wymowka, gdy odsuwają się od pracy społecznej — szczytniejszem zdawają się być zajęciem, niż opiekowanie się dziatwą polską.

To trupy społeczno-narodowe.

Przyznać trzeba, że Polacy w Bydgoszczy w przykrych żyją warunkach, lecz poniekąd, jak wspomniałem, sami sobie winni.

Każdy narzeka, że mu źle, że mu ciasno w tym rozgorzałym żywiole hakatystycznym, ale każdy też dalej pełni stare grzeszki, leży na wilczej skórze i zamiast pracować nad polepszeniem doli swojej i drugich, czeka zmiłowania Bożego. Brak chęci, działania, energii i odwagi, widać na każdym kroku.

Jednostki takie, które posiadają zdolności i sposobność pracowania na niwie narodowej, obawiają się własnego cienia, chociaż nie widzą strzelb w walce.

Mamy wielu takich, którzy są Polakami z imienia tylko, ale nie czują tego duszą i sercem.

I niechybnie stało by się miasto nasze żyjącym cmentarzem polskości w Wielkopolsce, gdyby w ostatecznej chwili t. j. przed 2 laty, nie zesłał nam był Bóg miłościwy właściwego szermierza polskości, *pana doktora Emila Warmińskiego.*

Kończy się drugi rok od chwili, gdy młody i miastu naszemu nieznany lekarz rozpoczął wśród nas działalność swą tak zawodową jak i społeczno-narodową.

Rozpoznał on natychmiast przykrą sytuacyę stosunków naszych i aczkolwiek młody, śmiało i bez trwogi wziął się do tej ciężkiej i mozolnej pracy społecznej.

Przy każdej sposobności starał się podnieść poziom intelektualny ludu naszego, wszczepić weń więcej samodzielności, ufności i wiary we własne siły.

To było przewodnią myślą jego licznych wykładów i odczytów, a pozatem pouczał nas o wielkiej naszej przeszłości historycznej i pięknej literaturze.

Ile pracy i zabiegów w sprawie



Ks. prałat Władysław Chotkowski z Krakowa, uczestniczył na pogrzebie ś. p. Arcybiskupa Stablewskiego.
(patrz artykuł p. t.: „Uroczystości pogrzebowe").

związku towarzystw polskich w mieście naszem młody ten szermierz poczynił, wszystkim wiarusom z pewnością w świeżej jeszcze pamięci.

Lecz i jemu los nie szczędził przykrości i bólu.

Zła wola jednostek zniweczyła dobre zamiary.

Bądź co bądź walka ta w sprawie tak doniosłej poruszyła i rozbudziła jednak najszersze koła.

Przedewszystkiem podniósł się duch w towarzystwach, niewłaściwe żywioły się wysunęły, a przybyło pożytecznych członków, biorących żywy udział w sprawach towarzystw.

Widocznym ten wpływ błogi przedewszystkiem w towarzystwie przemysłowem i u Sokołów. Założono tow. „Lutnię", która w tych dniach rozpocznie swą działalność; uważać to trzeba za fakt bardzo dodatni.

Co do robotników, to szczególnie zajmował się młody nasz szermierz towarzystwem zawodowem, sądząc, że właśnie owo towarzystwo w przeciwstawieniu do tow. robotników, na bardzo zdrowych założone fundamentach. To też młody nasz pracownik w kołach robotniczych jak najszczersze zyskał zaufanie.

Udawano się we wszystkich ważniejszych sprawach do niego o radę i pomoc, (n. p. w sprawie petycyi do ks. Arcybiskupa, którą podpisało w przeciągu 2 tygodni około 11 set ojców rodzin).



Ks. Biskup Dr. Rosentreter z Pelplina
celebrował mszę św. na pogrzebie śp. ks. Arcybiskupa Stablewskiego.
(patrz artykuł p t.: „Uroczystości pogrzebowe")

Dalej zajął się reorganizacyą komitetu, wyborczego, zyskał około 100 członków dla „Straży," w której jest starostą; obrano go prezesem okręgowym tow. przemysłowych, delegatem Czytelni ludowych; ufundował czytelnią polską dla dziatwy bydgoskiej w tem przekonaniu, że zaopiekowanie się najmłodszem pokoleniem w naszych warunkach, jest sprawą najważniejszą. Z biblioteczki tej korzystało przeszło 100 dzieci, a wypożyczono około 1000 tomików.

Za jego inicyatywą poczyniono już pierwsze kroki w sprawie założenia polskiej gazety w Bydgoszczy, wreszcie założono w myśl jego spółkę budowlaną, mającą się zająć wybudowaniem domu polskiego.

Z wszystkiego tego wnioskować trzeba, biorąc wreszcie na uwagę udział jego w wszystkich niemal zjazdach sokolich i przemysłowych, że młody ten i prawy obrońca spraw naszych w tak krótkim czasie z swej działalności w mieście naszem, idąc z partyą ludową, której był kierownikiem, zdziałał na polu społecznem to,



Ksiądz Radzca Kazimierz Michalski
wypowiedział patryotyczną mowę żałobną na eksportacyi śp. Arcybiskupa Floryana Stablewskiego.
(Patrz artykuł p. t.: „Uroczystości pogrzebowe").

co zdziałać uważano dotąd w mieście naszem, za niemożliwe.

Nie odstraszył się młody szermierz, chociaż go inteligencya nasza w jego pracy nie wspierała, lecz owszem przeciwdziałała, starając się uniemożliwić jego zamiary.



Ksiądz Stanisław Kostka Łukomski,
ostatni kapelan śp. Arcyb. Floryana Stablewskiego.
(Patrz artykuł p. t.: „Uroczystości pogrzebowe").

Bylibyśmy jeszcze więcej skorzystali pod jego dowództwem, lecz jak grom z pogodnego nieba spadła na nas wieść, że nasz kierownik, zaniemógłszy ciężko na zdrowiu, dla poratowania tegoż, musiał wyjechać za granicę na czas dłuższy.

Jak boleśnie każdego z nas ta wiadomość dotknęła, nie potrzebuję o tem pisać.

Bo nie tylko jako Polak pracował on dla dobra ogółu lecz i jako lekarz pracował dla bliźnich swoich z zaparciem się samego siebie.

Nie masz też domu w mieście naszem i okolicy, gdzie na zawołanie choć najuboższych czy w dzień, czy w noc spieszył z swą radą lekarską nie bacząc na swoje zdrowie.

W krótkim też czasie zdobył sobie wielką praktykę.

Siły jego nadwerężone zostały nadmiarem tych wszystkich prac.

Cała też ludność polska w mieście naszem odczuła od razu brak swego przewodnika i lekarza.



Ksiądz kanonik Edmund Dalbor
wypowiedział mowę żałobną na pogrzebie śp. Arcybiskuga Floryana Stablewskiego.
(patrz artykuł p. t. „Uroczystości pogrzebowe.")

Ale gorące płyną modły przed tron Najwyższego, ażeby jaknajwcześniej przywrócił mu zdrowie.

Narodowiec.

Karanie dzieci

za opór przeciwko niemieckiej nauce religii jest u nas obecnie na porządku dziennym. Że nieraz nauczyciel w swej gorliwości przekracza granicę chłosty w szkole, o tem czytamy często w naszych gazetach atoli wypadek, jaki się wydarzył dnia 12-go z. m. w szkole w Mieczkowie — w parafii smoguleckiej — urąga wszelkim pojęciom o granicach chłosty szkolnej.

O wypadku tym pisaliśmy za *„Dziennikiem Poznańskim"* już obszernie w numerze 47-ym „Pracy" w artykule p. t. „Chłosta czy katowanie?" według relacyi ks. *Alfonsa Kaczmarka* z Wyrzyska, dziś więc tyl-

ko główne powtarzamy fakta, o których ks. Kaczmarek tak pisze w „Dz. Poznańskim“:

„Dnia 12-go z. m. przed południem nauczyciel Franciszek Piechota z Mieczkowa w parafii smoguleckiej, w powiecie szubińskim, schłostał dziewczątko 10-letnie, Józefę Tetzlaw, córkę gospodarza J. Tetzlawa z Mieczkowa za to, że za przykazem rodziców nie chciała na nauce religii odpowiadać w języku niemieckim. Gdy dziewczątko zbite i skatowane schroniło się pod ławkę, nauczyciel P. wyciągnął ją za warkocz, bił dalej, a nawet kopał nogami. Wśród tej kulturalnej operacyi nauczyciel P. wołał po polsku do dziecka: „Ja ci sprawię polską naukę, jutro ci jeszcze lepiej dam“. Świadkami zajścia tego są dzieci z oddziału Józefy Tetzlaw, które rodzicom o katorżni tej opowiadały.

„Że podane tu przezemnie fakta zgadzają się z prawdą, wynika ze załączonego tu atestu p. dr. Stańczyka przez ojca pobitego dziecka, do publicznego użytku mnie udzielonego.“

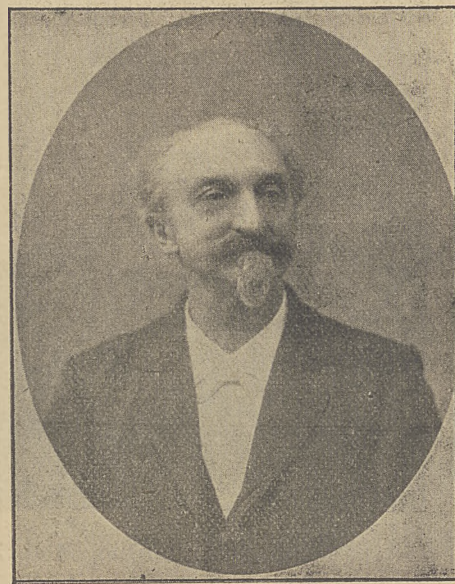
Atest ten brzmi w oryginale:

„P. Josepha giebt an: am 12 d. M. in der Schule unzählige Male mit einem Rohrstock über beide Arme und über den Rücken geschlagen worden zu sein. Diese Angabe ist wahrscheinlich, denn man sieht, dass beide Arme total blau geschlagen sind. Auf dem Rücken bemerkt man, namentich auf beiden Schulternblättern, zahlreiche mehrere Centimeter lange, bläulich-grünlich verfärbte Striemen. Der rechte Oberarm weist einen tief bläulich verfärbten Fleck auf, welcher acht Centimeter hoch und acht Centimeter breit ist. Auf dem linken Oberarm bemerkt man einen 14 Centimeter hohen, 6 Ctm. breiten tief schwarz verfärbten Fleck. Beide Arme sind angeschwollen. Die ganze Verletzung macht den schauderhaften Eindruck, als wenn der Rücken des Kindes gegeisselt worden wäre. Es unterliegt keinem Zweifel, dass die pathologischen Erscheinungen am Körper der p. Josepha Tetzlaw mit roher Gewalt mit einem stumpfen Gegenstand verursacht worden sind. Was die Tragweite der Verletzungen anbelangt, so bedrohen sie zwar nicht das Leben der Verletzten, alterieren jedoch in ziemlich hohem Grade die Gesundheit des Kindes. Dasselbe ist im höchsten Grade geistig aufgeregt. In der Nacht wacht es alle Augenblicke auf und weint vor Agnst: es würde wieder geschlagen werden. Ob dauernde, schädliche Folgen zurückbleiben werden, lässt sich heute nicht mit Bestimmheit aussagen, jedenfalls zeugt dieser Akt der Misshandlung von ungemeiner Roheit des Insultanten und davon, dass die Grenzen des Züchtigungsrechtes überschritten worden sind. Solches bescheinigt

Wirsitz, den 14. November 1906.

(L. S.)

(podpis lekarza.)„



Bolesław Dembiński, dyrektor poznańskiego chóru katedralnego.
patrz artykuł p. t.: „Uroczystości pogrzebowe“.

Atest powyższy w naszem tłomaczeniu brzmi tak:

„P. Józefa powiada: że d. 12 bm. otrzymała w szkole niezliczoną ilość razów trzciną przez obydwa ramiona i przez plecy. Opowiadanie to jest



Józefa Tetzlaw,
10-cioletnie dziewczątko, którą dnia 12-go z. m. nauczyciel p. Franciszek Piechota w szkole w Mieczkowie, w parafii smoguleckiej, schłostał wedle załączonego świadectwa lekarza.

wiarogodnem, widać bowiem, że obydwa ramiona są zupełnie sine. Na plecach, a mianowicie na obydwóch łopatkach znać liczne, kilka centymetrów długie niebieskawo-zielone pręgi. Na prawem ramieniu widać ciemnoniebieską plamę, 8 centymetrów długą i 8 cm. szeroką. Na lewem ramieniu znajduje się ciemno-czerwona plama, 14 cm. długa i 6 cm. szeroka. Oba ramiona są napuchnięte. Całe to poranienie robi okropne wrażenie, tak się zdaje, jakoby plecy dziecka zostały zbiczowane. Nie ulega żadnej wątpliwości, że znaki patologiczne na ciele Józefy Tetzlaw spowodowane zostały brutalną przemocą za pomocą tępego przedmiotu. Co do znaczenia ran, to wprawdzie nie zagrażają one życiu poranionej, narażają jednak w dość wysokim stopniu zdrowie dziecka, które w najwyższym stopniu duchowo jest podrażnione. W nocy co chwilę się budzi i płacze ze strachu, że znowu zostanie pobite. Czy pozostaną trwałe i szkodliwe następstwa, tego dziś jeszcze stanowczo powiedzieć nie można, w każdym razie świadczy ten fakt pobicia o nadzwyczajnej srogości bijącego, oraz o tem, że miara prawa chłosty została przekroczoną. To poświadcza

Wyrzysk, dnia 14. listopada 1906.

(Pieczątka).

(Podpis lekarza).“

Ks. Kaczmarek kazał, jak wiadomo, obnażone ramię i plecy dziewczątka fotografować i nadesłał nam fotografię, z której kazaliśmy zrobić kliszę. Rycinę zamieszczamy jednocześnie z podobizną skatowanego dziecka.

Powyższe świadectwo lekarskie przemawia samo za siebie, wobec czego wszelkie uwagi są zbyteczne.

W nr. 277-ym *„Dziennik Poznański“* zamieszcza sprostowanie rejencyi bydgoskiej, w którem czytamy, że Józefa Tetzlaff z powodu lenistwa i nieprzyzwoitości na lekcyi rachunków, a nie na lekcyi religii, otrzymała wpierw 2 lekkie uderzenia na rękę a potem z tej samej przyczyny kilka uderzeń przez ramię i plecy.

Szanowny Czytelnik tak z atestu lekarza jak też ze sprostowania rejencyi bydgoskiej przekona się jakiego rodzaju były uderzenia przez ramię i plecy.

O ile więc „sprostowanie“ rejencyi odpowiada istotnemu stanowi rzeczy, wykaże się przed sądem, gdyż ojciec dziewczynki oddał sprawę prokuratoryi.

Niespodziewany areszt.

W ostatnim czasie wywołała niemałą sensacyę wiadomość przechodząca z gazety do gazety, że w Kaniowie w powiecie opolskim, aresztowano współpracownika „Gazety Opolskiej“, p. *Franciszka Godulę,* zaprowadzono

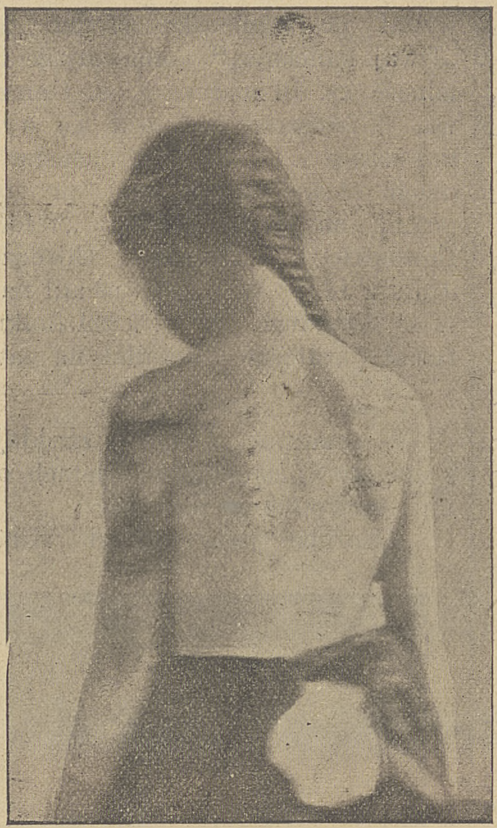
go do więzienia sądowego w Kupach i trzymano tam bez zasadniczej przyczyny przez cztery dni.

Zaproszony przez Szan. Redakcyę podaję niniejszem bliższe szczegóły dotyczące tego wypadku, jak i osoby niewinnie aresztowanego.

Pan Godula, od niedawna dopiero zajęty w wydawnictwie i redakcyi „Gaz. Op.“, pragnął zapoznać się z ludem w powiecie, a ponieważ wydawictwo „Gazety“ miało kilka spraw wymagających osobistego załatwienia z niektórymi agentami i prenumeratorami, przeto poleciło p. Goduli, aby zwiedził kilka wiosek i udał się do pewnych obywateli w celu spełnienia swej misyi. Pan Godula, młody i pełen zapału patryota, postanowił przy dobrej okazyi jeszcze coś więcej uczynić. Otóż ponieważ w Opolu Polacy od kilku lat nie mogą nigdzie większej sali uzyskać do odbywania zebrań, wieców itp., przeto p. Godula zwracał dzielniejszym ludziom, u których był, mimochodem uwagę na to, że w „Gazecie Oposkiej“ od dawna już otworzono składki na dom polski, i że dobrowolne ofiary na ten cel gotów jest przyjąć. Gościnni gospodarze polscy z otwartem sercem przyjmowali pana Godulę, a jeden z nich poradził mu w najlepszej intencyi, aby zboczył z głównego traktu od Popielowa do wioski leśnej Kaniowa, gdzie znajdzie także dzielnych i życzliwych ludzi. Pan G. usłuchał, atoli to było jego zgubą.

Gdy w Kaniowie wstąpił do pewnego kupca, podsłuchał jego rozmowę żandarm siedzący w przyległym pokoju. Skoro tedy p. Godula z handlu wyszedł, żandarm udał się za nim i zagadnąwszy go: „Sie kollektieren!“ — kazał mu iść z sobą do Kup, gdzie następnie sędzia okręgowy p. Godulę jako człowieka podejrzanego „wegen Landstreichens und Bettelns“ kazał zamknąć „do ula“. Daremne były perswazye p. Goduli, że przecież w Opolu jest znany, że tam pracuje i mieszka, więc nie jest żadnym wagabundą i żebrakiem. Pan sędzia — zamiast użyć telefonu lub telegrafu — i skonstatować, czy sprawa tak lub owak się ma, pozostał przy pierwszem swojem postanowieniu, i dowodząc wobec p. Goduli, że mógł by jeszcze za granicę uciec. (Sie könnten mir noch über die Grenze laufen!), kazał go odprowadzić do celi więziennej.

Tu też niebawem p. G. zaznał co to jest areszt redaktorski, bo mu kazano nawet więcej zrobić, jak taki areszt wymaga. Najprzód polecono mu się wykąpać, potem ubrano go w niebieskie rzeczy, jak to moda więzienna przepisuje, następnie kazano mu wyprać swoją bieliznę, wyczyścić rzeczy i zapakować je w worek, który powieszo-



Obnażone plecy i ramię schłostanej Józefy Tetzlaw.
(patrz atest lekarski w artykule p. t.: „Karanie dzieci“)

no na gwoździu. Na drugi, trzeci i czwarty dzień odbywało się szorowanie wynoszenie kubłów, noszenie wody i t. p. O świetnych zupach, które p. Go-



Franciszek Godula,
współpracownik „Gazety Opolskiej“, aresztowany przez żandarma w Kaniowie i odprowadzony przez tegoż do więzienia sądowego w Kupach, w którem przesiedział 4 dni bez zasadniczej przyczyny.

dula, przygryzając czarny chleb, tak zwany komyśniak, codziennie rano, w południe i wieczorem jadał, nie będę tu wiele się rozpisywał, aby czytelnikom daremnie nie robić apetytu. Dość, że chrzest z jak największą akuratnością został przeprowadzony, i kto wie, czyby do dzisiejszego dnia się nie był przeciągnął, gdyby nie to, że z jednej strony wydawca „Gaz. Opolskiej“ zaniepokojony losem p. G., udał się z zapytaniem do zarządu policyi w Opolu, oraz do prokuratoryi, a z drugiej strony sąd ziemiański, zawiadomiony przez sędziego w Kupach, co się tam dzieje, telegraficznie przywrócenie panu G. wolności nakazał.

Pieniędzy jednak zabranych (39 m. 60 fen.) do dzisiejszego dnia mu nie oddano ani nawet na podróż nie chciano nic dać, tak iż p. G. musiał 2¹/₂ mili do Opola iść pieszo.

Sprawa ta wywołała w kołach prawniczych w Opolu wrażenie; nawet prawnicy hakatystycznego usposobienia uważają wypadek cały za rzecz niesłychaną. Pan Godula wystosował zażalenie do ministra sprawiedliwości.

Miły czytelnik i łaskawa czytelniczka zapragnie zapewne, przeczytawszy powyższy opis, dowiedzieć się bliższych szczegółów, dotyczących charakterystyki p. Goduli. Otóż jest on jednem z tych utalentowanych dzieci ludu naszego, które nie zakopując swych talentów, wcześnie biorą się do pracy, aby wyjść na ludzi pożytecznych społeczeństwu i narodowi swemu. G. urodził się dnia 10 października 1888 r. w Babicach pod Raciborzem, uczęszczał do szkoły elementarnej tamże, następnie wstąpił do drukarni gazety niemieckiej „Oberschl. Vok
sztg.“ Ztąd jednak wydalono go niebawem za to, że pisywał korespondencye do „Nowin Raciborskich“. Teraz powziął G. zamiar kształcenia się w gimnazyum lub wstąpienia do jakiego zakładu duchownego, lecz ponieważ rodzice jego, wieśniacy, posiadający kilka mórg roli, z których kilkoro dzieci trzeba wyżywić i wychować, nie byli w stanie łożyć na jego wykształcenie a nadto starania jego w celu uzyskania pomocy skądinąd pozostały bez skutku; przeto wstąpił do ekspedycyi „Katolika“, a stamtąd do „Gazety Opolskiej“. Samouctwem doprowadził już tak daleko, że stosunkowo bardzo dobrze pisze po polsku, zapewne lepiej, aniżeli niejeden z tych którym łatwiej było dojść do wykształcenia i wiedzy.

Takich uczniów szkoły „bismarkowskiej“ na G. Śląsku mamy więcej, a można by o nich i ich pracach nawet dziedzinę poezyi obejmujących osobny feljeton napisać. Cześć takiej młodzieży! Ona jest rękojmią lepszej przyszłości naszego narodu.

Opole w listopadzie 1906 r.

Br. K.

Juljan Klaczko.

Z Krakowa nadeszła wieść żałobna o zgonie Juliana Klaczki. Od lat kilku już ciężka niemoc przyćmiła ten świetny umysł i wytrąciła pióro z jego ręki. Dla piśmiennictwa był w czasach ostatnich stracony i życie jego było już tylko bolesną wegetacyą, od której go śmierć uwolniła.

Ocenie płodnej działalności znakomitego pisarza nie poświęcimy wspomnienia obszernego, poprzestaniemy tylko na kilku szczegółach z jego pracowitego żywota.

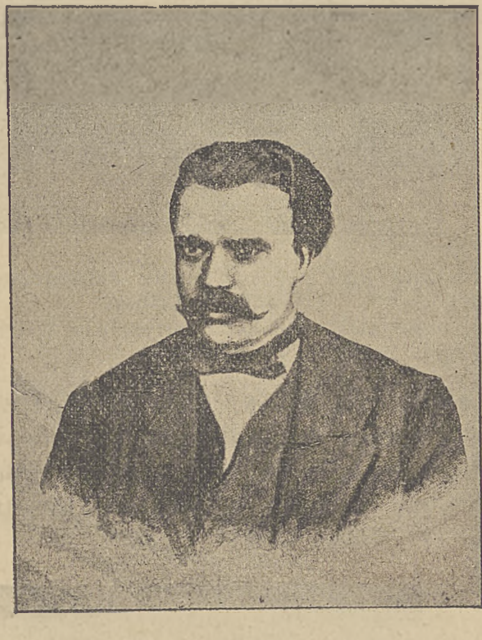
Julian (Judel) Klaczko przyszedł na świat w Wilnie, w dniu 6 listopada r. 1825. Odebrał staranne wychowanie i w dzieciństwie już zdradzał wybitne zdolności. W bardzo młodym wieku pisywał wiersze polskie; tłumaczył też na język hebrajski niektóre utwory Mickiewicza i Korzeniowskiego. W r. 1843 wyjechał na uniwersytet do Królewca i ukończył go w roku 1847 ze stopniem doktora filozofii. Na dalsze studya wyjechał do Heidelberga, wypadki jednak r. 1848 porwały go do czynnego życia politycznego. W walkach orężnych nie uczestniczył, czynny jednak był w zachodach dyplomatycznych. Z tej epoki datuje się jego świetna broszura „Die deutschen Hegemonen. Offenes Sendschreiben an Herrn Georg Gervinus", piętnująca stanowisko liberalnych sfer niemieckich wobec sprawy polskiej. W roku 1849 podążył do Paryża, gdzie w pierwszych czasach walczył nieraz z ciężkim niedostatkiem.

Pisywał po francusku o sprawach polskich, rosyjskich i niemieckich do *„Revue Contemporaine i Revue de Paris"*. Od r. 1857 do 1861 był kierownikiem i głównym współpracownikiem wychodzących w Paryżu „Wiadomości polskich". Od r. 1861 wrócił do publicystyki francuskiej i w szeregu studyów poruszył mnóstwo zagadnień politycznych. Z części tych artykułów powstała książka: „Etudes de diplomatie contemporaine. Les cabinets de l'Europe en 1863—64" (Paryż 1866; jest przekład polski). Studya Klaczki, poświęcone zagadnieniom polityki bieżącej, zwróciły na siebie uwagę kanclerza austryackiego hr. Beusta, który powołał Klaczkę w r. 1870 do Wiednia. Klaczko otrzymał urząd w ministeryum spraw zagranicznych, właściwie zaś był poufnym doradcą kanclerza. Wkrótce jednak podał się do dymisyi. W tym samym roku 1870 wybrany został na posła do sejmu krajowego z Tarnowa, potem zaś na posła do rady państwa. W r. 1873 usunął się od polityki czynnej i zamieszkał w Paryżu, gdzie w r. 1876 wydał po francusku słynne dzieło „Dwaj kanclerze," omawiające działalność ks. Bismarcka i ks. Gorczakowa. Niebawem poświęcił się wyłącznie sztuce i wydał po francusku dwa dzieła sławy europejskiej, przełożone potem na język polski: „Wieczory florenckie" i „Rzym i Odrodzenie. Juliusz II." W r. 1888 osiadł na stałe w Krakowie. W r. 1899 dotknięty został paraliżem i zamilkł na zawsze.

* *

W ostatnim *„Czasie"* znajdujemy szczegóły następujące o latach ostatnich znakomitego pisarza:

„Choroba, jakiej uległ Klaczko,



Śp. Julian Klaczko.

datowała się od lat mniej więcej ośmiu. Po zoperowaniu wówczas przez dra Kryńskiego narośli w jelitach, Klaczko poczuł się lepiej, wkrótce jednak choroba poczyniła nowe postępy i objawiło się porażenie, nie mające ustąpić aż do zgonu. Klaczko, nie mogąc prawie chodzić, przesuwany był z pokoju do pokoju przez służących; w oddziaływaniu na centra mózgowe, choroba przejawiała się niemożnością wymawiania niektórych wyrazów. Zdolność do funkcyi myślowych pozostała jednak nietknięta i do ostatnich chwil cieszył się zmarły żywością umysłu, pozwalającą na śledzenie wszystkich ważniejszych wydarzeń w życiu narodu i w dziejach politycznych Europy.

Codziennie też lektor odczytywał słuchającemu uważnie Klaczce parę dzienników krajowych i zagranicznych. W ostatnim czasie wojna rosyjsko-japońska i anarchia w Rosyi odbiły się żywem echem w willi przy ulicy Straszewskiego. Klaczko szedł z wytężoną uwagą za przebiegiem wypadków i niejednokrotnie mówił o nich z odwiedzającymi go przyjaciołmi.

W ostatnim już czasie autora „Dwóch kanclerzy" zajęły żywo pamiętniki ks. Hohenlohego, świeżo wydane. Klaczko polecił zamówić sobie egzemplarz książki, nawiązującej do tej epoki dziejów współczesnych, której zgłębianiu i oświetleniu tylekroć poświęcał swe pióro.

Smutny, tragiczny niemal los potężnego umysłu w więzach niemocy fizycznej starała się osładzać według możności życzliwa, pełna czci i miłości opieka przyjaciół. Codziennie około południa przybywał do willi Stanisław hr. Tarnowski, złączony ze zmarłym węzłami długoletniej zażyłości. W niedziele zbierało się około fotela Klaczki grono najbliższych, w którem znajdowali się: prof. Kazimierz Morawski, prof. Marjan Sokołowski, dr. Konstanty Górski, prof, Creizenach i inni. Klaczko ożywiał się przy rozmowie, potrącającej o rozliczne tematy, zwłaszcza, gdy padały w niej nazwiska, związane z epoką Odrodzenia, której autor „Juliusza II." oddał ostatnie chwile swej działalności, ostatnie pociągnięcia pióra.

Na ręku p. Konstancyi Morawskiej, która czuwała przy łożu konającego wraz z hr. Stanisławem Tarnowskim i dr. Surzyckim, przeżywszy lat 81, zmarł Julian Klaczko po latach cierpień, znoszonych z tą siłą moralną, jakiej użyczała mu głęboka, gorąca wiara chrześcijanina-katolika. Przytomność nie opuszczała ś. p. Klaczkę, opatrzonego Sakramentami św., aż do chwili zgonu, który lekko i spokojnie wyzwolił z więzów duszę podniosłą i szlachetną.

Mieczysław hr. Dunin-Borkowski.

Znaliśmy go—pisze „Nasz kraj"— prawie wszyscy często we Lwowie widywali. Słusznego wzrostu, zlekka przygarbiony, rzeźki jednak, siwy, jak gołąb o szlachetnych, łagodnych i prawdziwie pięknych rysach twarzy, postać jakby wykrojona z Matejkowskich płócien, ujmował i za serce brał każdego, z kim się tylko zetknął. Bo był to mąż gołębiej iście łagodności i dobroci, serca otwartego, dla wszystkich przystępny, mąż o charakterze czystym, jak kryształ, twardym.

Śp. Mieczysław hr. Dunin-Borkowski, objąwszy po przodkach, prócz majątku na kresach wschodnich, w dawnem województwie podolskiem, także

tradycyę piękną, tradycyę rodu, zasłużonego obroną tych kresów, pozostał tradycyi przez całe długie swe życie wiernym i uważał obronę kresów za główne swe zadanie. Idei szczytnej poświęcił wszystkie swe siły, poświęcił także dużą część fortuny prawdziwie magnackiej.

Placówką, posterunkiem pracy jego była Mielnica, w powiecie borszczowskim. Tam stał on przez 38 lat na



Ś. p. Mieczysław hr. Dunin-Borkowski.

straży ideałów narodowych, jako marszałek powiatowy. Był też wzorowym gospodarzem. To też jego wyłączną niemal jest zasługą całkowite przeobrażenie powiatu borszczowskiego, który dziś należy do najlepiej zagospodarowanych, najlepiej administrowanych w kraju naszym. Bo czuwała nad nim nietylko ręka znakomitego gospodarza, ale i oto wiernego syna kraju, kochającego całą mocą duszy ten wielki szmat ziemi, obficie krwią polską zroszonej.

I ta właśnie działalność jest głównym jego tytułem do zasług, choć nie mniejszym jest jego udział w organizacyi powstania 1863 r. i jego pracy w parlamencie wiedeńskim i sejmie. — Cześć jego pamięci!

Pamięci pieśniarza krakowiaków.

Sześćdziesiąt lat upłynęło od chwili zgonu popularnego pieśniarza krakowiaków i piosnek ludowych, Edmunda Wasilewskiego.

Lutnia jego wielkich i potężnych nie trącała tonów, ale śpiewała piosnki swojskie i dosięgła najwyższej dla pieśniarza nagrody. Piosnki i krakowiaki Wasilewskiego żyją wciąż wśród potomnych; wiele jego utworów uważanych jest za bezimienne, ludowe.

W sześćdziesiątą rocznicę zgonu pieśniarza, zdaje się, że należy przypomnieć ogółowi imię autora tak popularnych utworów, jak np. krakowiak:

Wesoły, szczęśliwy
Krakowiaczek ci ja!
A mój konik siwy
Raźno się uwija —
Uwija się, raźno bież,
Kopytami ognia krzesz!
. . . .
. . . .
I ta i ta ładna
Lecz próżne ich chęci —
O! bo mnie już żadna
Nie zwabi, nie znęci!
Jedno tylko serce mam,
Jedną tylko Halkę znam!

Do najłagodniejszych krakowiaków należy „Zapomniane skrzypki moje, zagrajcie od ucha!"

Wasilewski w piosnce swojej nakazuje wierzyć w lepsze jutro, w dobre wyniki pracy nad poprawą warunków bytu. Mówi on:

Trzeba orać ziemię żyzną z wiarą i nadzieją,
Nic dbać na to, chociaż kwiecień zaszumi zawieją —
Zaszumi zawieją, lecz jak świeży ranek,
Rozpogodzi niebo maj, wiosny kochanek.
Dalej razem, jak te wołki, idźmy krok za krokiem,
Bo gdy zagon uprawiony — miło rzucić okiem...

Z ogółu poezyi Wasilewskiego znaczna większość znanych jest z antologii, wypisów i kompozycyi muzycznych. I Moniuszko uznał kilka utworów za godną kanwę swoich kompozycyi. Najwybitniejszym poematem Wasilewskiego jest „Katedra na Wawelu."

Po grudzie szło życie pieśniarzowi. Urodzony w roku 1814 w Rogoźnie w b. departamencie lubelskim, zmarł w r. 1846 w Krakowie. Po ukończeniu szkół pracował czas jakiś przy bibliotece margrabiego Wielopolskiego, a następnie był w Krakowie urzędnikiem w biurze loteryi.

W 32-gim roku życia w dwa lata po zaślubieniu opiewanej w krakowiakach swoich ukochanej Haliny, znękany niepowodzeniami, zamknął do snu wiecznego powieki.

I dziś wielu, nucąc krakowiaki Wasilewskiego, nie pamięta nawet jego imienia. *l.*

Pielgrzym i dzieci.

Stoi nad drogą krzyż pochylony,
Pod nim spoczywa pielgrzym strudzony.
Siwą swą głowę wsparłszy na dłoni,
Duma — to westchnie — to łzę uroni...

Opodal mała wieśniacza chatka.
Z niej to wychodzi dzieci gromadka;
Starca pielgrzyma radośnie wita,
„Zkąd Bóg prowadzi?" uprzejmie pyta.

Pielgrzym gawędkę zaczyna z niemi:
Z daleka idę, od Świętej Ziemi!
Lecz starszy chłopczyk pyta naiwnie:
„A któraż święta?" „Nie wiesz? to dziwnie!"

„Świętą się zowie ziemia daleka,
Miejsce rodzinne Boga-Człowieka!"
Lecz chłopczyk duma — i wreszcie powie:
„Niech się ta ziemia najświętszą zowie!"

„Czemu?" — „Bo świętą zwać się powinna
Nasza kochana ziemia rodzinna!
I ja tak zawsze pojąłem słowa,
Że wy z Poznania albo z Krakowa!"

Dziwi się starzec w cichej radości:
„Wiele ja — rzecze — widziałem w świecie,
Lecz nigdzie takiej kraju miłości,
Jaką tu małe nawet ma dziecię!"

I u stóp krzyża ukląkł w pokorze,
A wznosząc ręce, zawołał: „Boże!
O pobłogosław dziatwę niewinną,
Która tak kocha ziemię rodzinną!"

„Piast".

Na roraty.

Z opowiadań dziadka.

...A pierwszy raz, kiedym się spotkał z wilkami, lat temu sześćdziesiąt, to było tak:

Mieszkaliśmy wtedy jeszcze w tej samej Wielkiej Huszczce, gdzie jako siedmioletni chłopiec pobierałem nauki domowe od p. Adama Delaszkiewicza, młodzieńca lat dwudziestu, który dla mnie w owe czasy był niezrównaną naukową powagą. Pan Adam był cichy, pobożny, wody nikomu nie zamącił. Pewnego grudniowego wieczoru p. Adam zbliża się do matki mojej i szepce:

— Proszę pani, ja się ofiarowałem iść jutro pieszo do Monastyrka na roraty; pani będzie łaskawa się nie gniewać, że spóźnię się na ranne lekcye.

— I owszem, panie Adamie, ależ

przecie lepiej saneczkami, po cóż koniecznie pieszo?

— A nie, proszę pani, już ja tak sobie postanowiłem, żeby tę moją pierwszą zimową drogę pieszo ofiarować.

Już nie dosłyszałem, na jaką intencyą miał pan Adam ofiarować tę swoją pieszą drogę, ale nagle, ni ztąd ni zewąd, i mnie zajechała jak fura siana do głowy ta myśl, abym i ja także poszedł z panem Adamem do Monastyrku na roraty. Bo, tak sobie myślałem, w saneczki to siada byle kto i końskiemi nogami drze na nabożeństwo: ale co to będzie, jak ja z panem Adamem na swoich nogach przybędę do kościołka.

Więc idąc za swemi myślami, puc matkę w rękę i dalejże w prośby:

— Proszę mamy, i ja pójdę z panem Adamem na roraty!

— Czyś ty fiksa dostał? — zawołała matka — siedź, smarkaczu w domu, kiedy ci ciepło, a w niedzielę pojedziemy wszyscy na sumę.

— Ba, na sumę, ale nie na roraty, i pojedziemy, kiedym ja chciał pójść

— Daj mi spokój, nie pójdziesz.

— Nie pójdziesz! Łatwo to było powiedzieć, ale nie łatwo słowa dotrzymać! Jak zacząłem molestować, błagać, za ręce i suknię chwytać, zrobiłem wreszcie to, że się matka prawie zgodziła. Ostatni argument, jakim mnie zastraszyła, był:

— A jak cię wilki zjedzą?

— Nie zjedzą, mamusiu, nie zjedzą, ja się wilków nie boję.

— Nie boisz się, boś głupi.

Nic na to nie odpowiedziałem, bo to, co chciałem odrzec, wcale nie licowało z pokorą dziecięcą, a już przecie miałem tyle rozumu, że jeżeli mi się coś nie zdawało, tom się jednak ze swojem zdaniem nie wyrywał. Tak sobie tylko pomyślałem: albo to prawda! żadnych wilków na świecie nie ma. Ile to razy Jagusia straszyła Wicusia, żeby włazil w sąsiek i wołała:

— Nie właź tam, bo cię wilk zje.

On nie wlazł, ale ja wlazłem zawsze, i nigdy żadnego stworzenia, oprócz myszy nie znalazłem. Baj baju, ale wilków nie ma na świecie.

Ot, co miałem na języku: ale zamiast tego, czepiłem się pana Adama, aby się za mną wstawił, a żeśmy się dosyć nawidzili, więc chętnie był moim orędownikiem i pozwolenie mi do reszty wyprosił, wziąwszy moją osobę na swoją odpowiedzialność.

Poszliśmy spać.

Całą noc przewracałem się na swoim sienniku, nie mogąc się doczekać chwili wyruszenia w drogę. Już kilkakrotnie podejrzywałem pana Adama, że pocichuteńku wyniósł się, zostawiwszy mnie na koszu, ale ile razy spojrzałem w jego stronę, widziałem zawsze jego twarz szczupłą, oświetloną promieniami księżyca, których pęk wdzierał się do izby przez serduszko okiennicy.

Nareszcie pan Adam chrząknął i zaczął krzesać ogień. O zapałkach wtedy nie było jeszcze słychu. Wkrótce zapłakana łojówka zaczęła pryskać i zaledwo słabo oświeciła ten kąt, w którym obaj mieliśmy przygotowane świąteczne suknie. Ja już się ubierałem. Żwawo umyłem się, uczesałem i równocześnie z panem Adamem byłem gotów do drogi.

Cały dom spał, gdyśmy się wszyscy wymykali za wrota. Przy samej bramie opadły nas psy nasze i głośnem szczekaniem zbiegły się, lecz wnet zaczęły ogonami machać i obcierać o nas swoje zeszroniałe grzbiety. Znając służbę nie puściły się z nami w drogę, ale powróciły oszczekiwać parkany i zakamarki gospodarskie.

Teraz zaczęła się nasza podróż. Od domu do głównej drogi mieliśmy z pięćset kroków, a wciąż prosto prawie pół mili.

Pan Adam mówił pacierz, jam mu ustami dopomagał choć w głowie tylko miałem tę myśl, jak to ja zaimponuję wszystkim, gdy powiem np. wujowi Janowi, lub komukolwiek, że byłem pieszo w Monastyrku na roratach!

Jużeśmy minęli Małą Huszczkę i dzwon z Monastyrku słychać było, gdyśmy poczęli się dźwigać pod górę. Po lewej stronie drogi wznosiła się wysoka góra, pokryta szumiącym borem bukowym, po prawej było pole. na którego brzegu, tuż nad drogą, rosło kilka nadpróchniałych wierzb.

Pan Adam szedł raźno i ja niezgorzej. Wymawiając machinalnie: zmiłuj się nad nami, zmiłuj się nad nami — jako suplement litanii p. Adama, spoglądałem na prawo i myślałem o przyszłych tryumfach, gdy nagle pan Adam puścił moją rękę i przeraźliwie krzyknął:

— Jezus, Marya! wilki! — i skoczył pod wierzbę, a ja za nim, zgoła nie pojmując grożącego niebezpieczeństwa.

Chciał mnie pan Adam podsadzić na gałąź, a sam następnie za mną się tam dostać, ale już na to czasu nie było starczyło; zawołał więc tylko:

— Jasiu, stój przy pniu i nie ruszaj się krokiem! — a sam drapał się na kilka sążni wysoko.

Zostałem tedy pod drzewem i miałem dosyć czasu, aby obrzucić okiem całe położenie: p. Adam był na gałęzi, ja pod drzewem, a o kilka kroków przedemną z tuzin wilków, które przed chwilą, świecąc złowrogo oczyma, w skokach biegły z góry, siedziało już półkolem na zadach, łby trójkątne zwróciły w moją stronę, z pysków, z pomiędzy nieregularnych zębisków, zwieszały im się długie, wązkie, krwawe ozory i jak z kominów, para się kurzyła, ślepia zarzewiem pałały, a ogony powoli śnieg rozmiatały.

Czy czułem trwogę? Nie, doprawdy, że nie. Ani przez myśl mi nie przyszło, że za chwil parę mogę być rozszarpany. Więc to są takie wilki — pomyślałem sobie — ba, nie było się czego straszyć. Ano, tęgie psiska i tyle. A że z psami znałem się i jeszcze póki mego życia, krzywdy od żadnego nie doświadczyłem, więc też z pewnem dobrem zaufaniem patrzałem na rozdziawione paszcze. Gadają, że wilki mogą pożreć człowieka — i to bajki, gdzieby zaś w taką gębę człowiek wlazł. I z zupełnem przekonaniem o zapewnionem bezpieczeństwie stałem pod wierzbą.

Tymczasem p. Adam dostał się na mocną gałąź i zaczął okrutnie hałasować. Wtedy dopiero zrobiło mi się jakoś nijako. Coś mię jakby w nosie zaswędziło — ale to zaraz przeszło.

Pan Adam łamał gałęzie drobniejsze (a łatwo mu to było, bo na mrozie wszystko skruszało) i ciskał na wilki: co który wilk gałęzią dostanie, to odskoczy na piędź i dyszy parą, a ślepiami błyska.

Zaczął pan Adam krzyczeć:

— Bywaj, bywaj, ratuj kto w Boga wierzy, wilki, wilki! — a to „ii" ciągnęło się gdzieś bez końca.

Kęs czasu upłynął a nikt i nic się nie odzywało. Już pan Adam chrypnąć zaczął, gdy w Małej Huszce psy się zaniosły jakiemś szczekaniem niezwykłem. O, bo psy wilka zdaleka poczują, jak się o tem później nieraz przekonałem i zupełnie inaczej szczekają, niż na złodzieja, lub na innego nieprzyjaciela. W tem ich na wilka szczekaniu jest coś i z groźby, i ze strachu, i z uczucia nieprzyjaźni, i jakby z żalu. Szczekają i wyją naprzemian, a do boju nie bardzo się chętnie rwą.

A gdy się psy odezwały i ludzie niedługo na siebie dali czekać. Pomiędzy odezwami i szczekaniami słychać było okrzyki i pytania:

— Hej, hej! a gdzie?

A wtedy pan Adam sił ostatnich dobywał i krzyczał:

— Tu, tu, ratujcie, ratujcie!

Tak znów przeszło parę minut. Księżyc i gwiazdy na wschodzie, gdy w ciszy rozległ się skrzyp śniegu pod stopami chłopów; szli ludzie z Wielkiej Huszczki z drągami i krzyczeli i hukali na dzikie bestye. Gdy już byli o jakie trzysta kroków, wilczyska się

podniosły i zupełnie wojennym truchtem oddaliły się w górę, zkąd przyszły.

Za chwilę otoczyli nas chłopi: pana Adama trzeba było ściągnąć, a raczej znieść z drzewa, tak był osłabł z przerażenia; co do mnie byłem trochę zziębnięty. Cała ta historya trwała ze trzy kwadranse. Wydziwić się ludziska nie mogli cudownemu memu ocaleniu.

Z całą gromadą wróciliśmy do domu, do naszej Huszczki: pana Adama prowadziło dwóch ludzi pod ręce, nogi ledwie powłóczył za sobą, a twarz zczerniałą, miał jak wątroba. Zaraz też legł do łóżka i ciężko się rozchorował.

A ja? ja pojąć nie mogłem, czemu się nazajutrz matka zapytała:

— Chciałbyś jutro rano iść na roraty?

Z zupełną naiwnością nawzajem pytałem: kto idzie? Nie podobała mi się ta niedokończona podróż.

W kilka dni później żyd arendarz przyniósł wiadomość, że wilki zażarły chłopa z babą i parę koni. Z rachunku pokazało się, że to było tej samej nocy, gdyśmy z p. Adamem pielgrzymowali. Widać, były te same sztuki, które mając pełne żołądki, nie złakomiły się na mnie mizeraka.

K. Kr.



Z życia górników.

Nader wydatna i obfita w skutki działalność, jaką rozwinął zastęp ratunkowy górników westfalskich w Courierres, zwróciła uwagę na urządzenia niemieckie w tym kierunku. Nie wszędzie jeszcze w Prusach istnieją przepisy górniczo- policyjne o aparatach i urządzeniach ratunkowych. W okręgu wrocławskim przepisy te istnieją już od dawna; w okręgu górniczym dortmundzkim zaczęto je przygotowywać dopiero w ostatnim czasie. Bardzo charakterystycznem jest jednakże, że główna instytucya ratunkowa, mogąca być wzorem dla całego świata, powstała nie z polecenia władz, lecz z inicyatywy samych górników. Ma ona zadanie bardzo ważne bo kształci górników w pracach ratunkowych. Starania te przyniosły niezmiernie korzystne rezultaty, tak że dzisiaj w Westfalii nie ma już prawie górnika, któryby w razie wypadku jakiegoś nie wiedział, jak należy postąpić, aby ratować życie swoje i towarzyszy.

Głównym zakładem, gdzie odbywa się kształcenie górników w pracach ratunkowych, jest westfalska szkoła górnicza w Bochum. Stąd rozchodzą się górnicy po całym okręgu węglowym, rozszerzając dalej nabyte wiadomości, kształcąc innych w tym samym kierunku. Zakres działania szkoły rozszerza się z roku na rok; na terenach należących do szkoły powstają coraz nowe budowle, w których górnicy praktycznie stosują zdobytą wiedzę. Specyalny oddział historyczny daje uczniom szkoły przegląd wszystkich prób i usiłowań w zakresie prac ratunkowych i przyrządów do tego służących, z ostatnich dziesiątek lat. Wśród aparatów ratunkowych istnieją głównie dwa systemy: jedne, to aparaty rurowe, przy których pompuje się naturalne powietrze, aby umożliwić pracę wśród gryzącego i zabijającego dymu; drugie, to tak zwane aparaty tlenowe, umożliwiające pracę w znaczniejszych odległościach, w większej głębi i dające pracującemu większą swobodę ruchu. Te ostatnie aparaty mogą być różnego rodzaju, jedne są rodzaju hełmu, okrywającego całą głowę, inne służą tylko do zakładania na usta, przyczem nos musi być zatkany. Wogóle prawie wszystkie umożliwiają dwugodzinną pracę nawet wśród największego dymu.

Bardzo interesująca jest metoda nauki, która teraz właśnie wzbudziła taki podziw wśród Francuzów. W osobnym budynku szkoły bochumskiej jest urządzony tak zwany wodny szyb; głębokość wody wynosi przeszło 200 metrów. Uczniowie wdziewają skafandry i kształcą się w akcyi ratunkowej, którą się stosuje w razie, jeżeli szyb zostanie wodą zalany. Jeszcze bardziej pouczający jest drugi budynek, gdzie górnicy uczą się właśnie tych prac ratunkowych, które obecnie znalazły praktyczne zastósowanie w kopalni Courrieres. Długi korytarz prowadzi do właściwej sali prób, w której są umieszczone aparaty ratunkowe. Duże szklanne okna umożliwiają nadzór ćwiczeń z zewnątrz, żelazne drzwi umieszczone z obu stron sali, pozwalają w razie jakiegokolwiek wypadku spieszyć natychmast uczniom z pomocą. Uczniowie mogą też sami zawiadamiać o wypadku za pomocą specyalnych przyrządów alarmowych. Sala ćwiczeń jest urządzona zupełnie jak kopalnia węgla; wązkie korytarzyki z podporami drewnianemi, prowadzą w górę i na dół, miejscami są tak małe, że trzeba pełzać, aby je przebyć.

Przed rozpoczęciem ćwiczeń, wszystkie te uliczki napełnia się gęstym dymem, paląc pakuły, kawałki węgla i t. p. w umyślnie na ten cel zbudowanych piecach. Uczniowie rozpoczynają naukę w mniej gęstym dymie, pracują też zrazu bardzo niedługo; ćwicząc się coraz bardziej, dochodzą wreszcie do tego, że mogą wytrzymać dwie godziny w najgęstszym dymie, oddychając tlenem z aparatu, zawieszonego na plecach. Ćwiczenia są bardzo rozmaite. To stawiają tamy, aby powstrzymać zalew wody spuszczonej z wodociągów, to budują mury, które mają powstrzymać rozszerzanie się pożaru, to usuwają nagromadzone belki i rumowisko, aby utorować sobie naprzód drogę. Specyalne aparaty służą do mierzenia siły, potrzebnej do wykonania każdej pracy. Lepszej szkoły na wypadek strasznego niebezpieczeństwa nie mógł umysł ludzki wymyśleć. Inicyatorem założenia szkoły bochumskiej był poseł Schultz; następcą jego, prowadzącym zakład w tym samym duchu, jest profesor Heise.

Podobnie jak żeglarz, narażający się na ciągłe niebezpieczeństwo, tak samo i górnik bywa bardzo przesądny, ma mnóstwo legend i opowieści, które przechodzą z ojca na syna, drogą tradycyi. Kilka takich charakterystycznych wierzeń górników przypominają pisma paryskie z okazyi katastrofy w Courrieres. I tak np. twierdzą górnicy, że istnieją miejsca w kopalni, dokąd górnik nie może się wdzierać, w przeciwnym bowiem razie spotyka go natychmiast sroga kara. Opowiadają też o rozmaitych wizyach, o nagle pojawiających się postaciach górników, którzy zginęli podczas jakiejś katastrofy w kopalni, o odgłosie uderzania kilofem, który dochodzi z miejsc, gdzie żaden człowiek nie pracuje. Zwłaszcza w północnym okręgu węglowym we Francyi legendy są bardzo liczne. Zola opowiada w „Germinalu", że górnicy wierzą w istnienie „Czarnego Człowieka", tajemniczego mieszkańca kopalni, który zastawia pułapki na robotników.

W innych kopalniach opowiadają o „małym górniku". Jest to gnom nieszkodliwy, ale cieszący się szkodą górników i dla tego płatający im rozliczne figle. Jeżeli nagle złamie się lub zginie narzędzie pracy, jeżeli lampa nie chce się palić, jeżeli nagle spadnie z góry kamyk i uderzy górnika w czapkę, to wszystko to jest dziełem tego „małego górnika". Gdzieindziej nazywają go także „staruszkiem". Ten stary chłopiec rozpoczyna swe rządy w kopalni, kiedy górnicy ją opuszczą.

Słychać wówczas hałas toczących się wózków z węglem, często „djabełek“ wydaje dziwne okrzyki, brzmiące mniej więcej jak „Ratata!“ Niekiedy sprawia taki hałas, że wydaje się, iż cała kopalnia się wali, gdy jednak górnicy zjadą pod ziemię, przekonują się, że wszystko jest w porządku. W innych kopalniach ten sam „staruszek“ gra inną szlachetniejszą rolę.

Czuwa on nad życiem i własnością górników, zawiadamia ich o zbliżającem się niebezpieczeństwie i przestrzega wyraźnem pukaniem o spróchniałych belkach, które grożą runięciem. Zdaniem wielu górników, wystarcza tylko uważać na te znaki, aby ujść cało przed niebezpieczeństwem.

Dzisiaj . . .

Za wszystkie te „jutra“
Dziewczyno,
Za wszystkie te „jutra“ i „wczora“,
Ja wolę te chwile, co płyną
Od brzasku po zmierzchy wieczora —
Ja wolę to „dzisiaj“ dziewczyno!
Niż wszystkie te „jutra“ i „wczora!“

Co było... to było!...
Co będzie?
Zakryte przed duszą i okiem...
To nasze, co dzisiaj się przędzie
Trwa dzisiaj i żyje pod bokiem!
Co było... to było... Co będzie?
Zakryte przed duszą i okiem...

To nasze co w „dzisiaj“
Się rodzi
Co chwila bieżąca zapisze —
Wszak „dzisiaj“ od „wczora“ pochodzi
A „jutro“ się w „dzisiaj“ kołysze,
Więc — wszystko co w „dzisiaj“ się
rodzi
Blask przyszły i przyszłą ma ciszę.

Ma w sobie: co było,
Co będzie —
I zmierzchy i zorze jednoczy!
To nasze, co dzisiaj się przędzie,
Co dzisiaj nam pada przed oczy!
Bo wszystko, co było, co będzie
W tem naszem się „dzisiaj“ jednoczy!

El.

Z robotnika — minister.

Z ciekawych wspomnień lat dziecinnych Johna Burnsa, który po ostatnich wyborach i zmianie gabinetu w Anglii, został ministrem, wybieramy jedno, jako dobrze charakteryzujące początki zawodu tego niepospolitego człowieka i społecznego działacza.

Pewnego zimowego wieczoru — właściwie była już pierwsza po północy, mały John Burns pomagał matce nieść do domu kosz pełen bielizny do prania: w koszu było trochę jedzenia dla niego i młodszego rodzeństwa. Kosz był bardzo ciężki na jego dziecinne siły, i obecny minister doskonale pamięta jak przysiadł na chwilę dla odpoczynku, w pobliżu gmachu Parlamentu, i powiedział do matki:

— Mamo! Jeżeli będę miał zdrowie i siły, to żadna matka nie będzie potrzebowała tak pracować jak ty, ani żadne dziecko nie będzie robić tego, co ja robię...

W tych słowach, które natchnęły chłopcu gorycz i odczucie niesprawiedliwości świata, przebija się już głębokie współczucie dla ludzkiej niedoli, i silne postanowienie walczenia ze złem, stanowiące wybitną cechę publicznej działalności Burnsa. Ale czy mogła marzyć ta matka praczka i ten chłopiec pomagający jej w dźwiganiu ciężaru, że w tem samem miejscu, gdzie kosz wysunął się z jego zmęczonych rąk dziecięcych, będzie kiedyś chodził jako członek Parlamentu, minister jednego z najpotężniejszych mocarstw świata?

Los często igra z ludźmi, ale życie Johna Burnsa, jest jedną z najosobliwszych jego igraszek. Przemiana tego chłopca dźwigającego bieliznę do prania, na ministra — to coś jak ustęp z czarodziejskiej baśni! Ale droga, która doprowadziła do tej przemiany, była ciernista i długa.

Urodzony przed czterdziestu siedmiu laty, John Burns syn ubogich Szkotów, wcześnie zapoznał się z gorzką dolą nędzarzy. Mając zaledwie lat dziesięć z dumą przynosił matce zarobione przez siebie parę szylingów na tydzień, a był pomocą dla matki: tyle głodnych ust trzeba było nakarmić w tym ubogim domu, że każdy szyling znaczył u niej dużo.

Trochę później, mały John poprawił swój los przywdziewając strojną, guzikami naszytą liberyę chłopca do posług, ale jego silna natura zbuntowała się wkrótce przeciwko temu złoconemu niewolnictwu. Wstępuje na praktykę do żelaznych fabryk Vanhall, i pracuje ciężko od rana do nocy, zanim po skończeniu lat czternastu dostał się jako uczeń do fabryki w Millbank. W pięć lat potem był już wolnym robotnikiem, i zaakcentował swoją wolność wyruszeniem w daleki świat. Na zachodniem wybrzeżu Afryki, przyjął obowiązek starszego robotnika przy inżynierach. Jego naczelnik ówczesny, sir Jerzy Goldie, mówił zawsze: „Był to najlepszy robotnik ze wszystkich, jacy kiedykolwiek pracowali pod memi rozkazami“.

Ciekawe rzeczy opowiadają o wytrwałości i odwadze Burnsa w czasie całorocznego pobytu w skwarnej i pełnej niebezpieczeństwa Afryce: jak ocalił życie tonącemu koledze i omal sam przy tem nie zginął: jak przez pięć godzin z rzędu wywijał się rekinom, szukając zatopionego, a kosztownego narzędzia na dnie rzeki: jak zabił wielkiego węża, za jedyną broń mając łopatę...

Mając lat dwadzieścia, powrócił do Londynu, i zaczął popisywać się wymową, przemawiając na publicznem zgromadzeniu, który to popis wywołał dwa nieprzewidziane następstwa: nocleg w policyjnem biurze — i... znajomość z panną Karoliną Gale, przyszłą jego żoną, która, stojąc w tłumie, zachwycała się wymową młodego robotnika. Noc spędzona pod opieką policyi opłaciła mu się sowicie... Wtedy to John Burns trafił na właściwe swoje powołanie, a chcąc się odpowiednio przygotować do przyszłego zawodu politycznego, zaraz po ślubie poświęcił swoje skromne oszczędności na półroczną podróż po środkowej Europie, dla zbadania społecznych stosunków i rozszerzenia swoich widnokręgów.

Ale czekały go jeszcze lata ubóstwa i ciężkiej walki. W 1886 roku, obecny minister wędrował przez długich i strasznych siedm tygodni po całym kraju, poszukując pracy, a spotykając się wszędzie z odmową i gorzkim zawodem. W parę miesięcy później, za udział w nieszczęsnym mityngu na Trafalgar-Suqare, został skazany na trzy miesiące więzienia.

Takie było życie Johna Burnsa, do chwili gdy jego działalność stała się widoczną całemu społeczeństwu, gdy postawił pierwsze kroki na tej drodze, która go doprowadza do celu. Dziś — w całym Londynie niema człowieka bardziej znanego i szanowanego od „Uczciwego Johna“, człowieka z głową i sercem“ jak go nazywają. Mieszkańcy Londynu znają dobrze tego pana średniego wzrostu, o barczystych ramionach w granatowym garniturze i kolorowej kamizelce, pana z siwą, prawie białą brodą, i głęboko osadzonemi ciemnemi oczyma, pod krzaczastemi brwiami. Chodzi on posuwistym krokiem a postawę ma marynarza. Przechodnie pokazują go sobie i mówią: „To on! To John Burns!“

Straszliwa katastrofa.

Miasteczko Witten w Westfalii blisko Dortmundu było dnia 28-go z. m. widownią straszliwej katastrofy, o której gazety następujące donoszą szczegóły:

Dnia wzmiankowanego wieczorem o 8. wybuchł w fabryce roburytu *) we Witten ogień, który ogarnął także oddział do pakowania, gdzie nastąpiła pierwsza eksplozya. Palacza Seilera rzucił nacisk powietrza o sąsiedni budynek, tak, że natychmiast poniósł śmierć. Eksplodował także kocieł i wrząca para uleciała, parząc ludzi śmiertelnie. Dyrektor Franke, który podczas pierwszego wybuchu wyszedł właśnie z remizy, otrzymał ranę w głowę, mógł jednak już w następnym dniu ukazać się na miejscu wypadku. Chemik dr. Kunc poniósł śmierć na miejscu, wychodząc właśnie z laboratoryum. Kilku strażaków odniosło podczas prac ratunkowych ciężkie okaleczenia.

W remizach leżało w tym czasie około 600 kist po 40 kilogramów roburytu. Kierownik lejarni żelaza z Witten, który przypadkowo bawił w fabryce, został zabity, tak samo uczeń szkolny Cronfeld. Z publiczności, która przybyła na miejsce pożaru, zostało dużo osób ranionych wskutek niespodziewanej drugiej eksplozyi. Nawet ludzi, którzy trzymali się w dalszej odległości rzuciła siła wybuchu o ziemię. Odłamki żelaza zabiły kilku ludzi. Kilkanaście trupów wyciągnięto zupełnie zwęglonych; ranni są komisarz policyjny Fettkoetter i burmistrz Mencel z Witten.

Wedle dotychczasowych wiadomości jest zabitych 40 a ciężko rannych blisko 100 ludzi, liczba lekko rannych jest ogromna. W szpitalu Panny Maryi opatrzono 76 rannych i wypuszczono znowu, natomiast 38 osób odniosło tak ciężkie pęknięcia czaszki, że nie ma dla nich ratunku. Dwie osoby, które straciły najbliższych krewnych uległy napadowi obłędu.

Wstrząśnienie odczuto w odległości 13 klm. Fabryka kotłów, położona w bliskości, jest zupełnie zniszczona, cegielnia Eichardta spaliła się doszczętnie. Jako przyczynę katastrofy wymieniają rozmyślne podpalenie! Szkodę obliczają na 2 miliony marek.

* * *

Korespondent berlińskiego „Lokal Anzeigera‟ daje następujący obraz miejsca katastrofy i jej przebiegu po pierwszych oględzinach: Fabryka leży w małem zagłębieniu, mniej więcej w połowie drogi z Witten do Annem, wynoszącej około 7 kilometrów. Szkody wyrządzone w Annen są większe, niż w Witten, które skutkiem lepszego położenia było więcej chronione przed niszczącą siłą wybuchu. W pobliżu miejsca katastrofy kilkadziesiąt domów ma zerwane dachy i zburzone mury szczytowe; w niektórych domach niema ścian, dzielących pokoje, ani pował. Stojąc przed frontem domu, można widzieć przez zburzone mury podwórze i tył domu, patrząc zaś z sieni do góry, spostrzega się chmury, płynące po niebie.

Już po pierwszym, mniej silnym wybuchu, część mieszkańców miasta Witten, a zwłaszcza Annen, opuściła swoje mieszkania, zabierając z sobą potrzebniejsze, a zwłaszcza cenniejsze rzeczy. Inni czekali jeszcze, przypatrując się słupom ognia i dymu. Mnóstwo osób z obu miast pospieszyło na miejsce pożaru, otoczywszy je wielkim pierścieniem. Nastąpił drugi, silniejszy wybuch. Ów pierścień ludzi został nadzwyczajną siłą pręźności powalony na ziemię, a spadające na ten żywy wał kamienie, deski, kawały żelaza znacznej wielkości poraniły w rozmaitym stopniu bardzo znaczną liczbę osób, zabijając niektóre. Pewnemu sierżantowi policyi sztaba żelazna rozdarła brzuch. Nieszczęśliwy poniósł natychmiastową śmierć. Rozrzucone po ziemi czapki i kapelusze świadczyły z jakim pośpiechem ciekawi widzowie uciekali, o ile uciec jeszcze mogli.

W ogromnym promieniu dokoła miejsca katastrofy leżały szczątki rozmaitych przedmiotów. Silny parkan z desek, otaczający fabrykę, został zupełnie zniesiony, a raczej uniesiony, gdyż pozostało po nim zaledwie kilka słupów. Dalej części maszyn i muru, długości pół metra. Żelazne maszty, na których wisiały elektryczne lampy łukowe, są tak pogięte, że trudno dziś rozpoznać do czego służyły. Podobnie pogięte zostały żelazne dźwigary 8 metrowej długości. Wóz czterokołowy leżał na pół przerwany. Gołębie i drób próbowały latać na opalonych skrzydłach. Dwadzieścia wozów, między niemi wóz meblowy, musiano sprowadzić do przewożenia ciężko rannych i trupów. Nazajutrz po katastrofie, to jest we czwartek, od czasu do czasu z pośród zgliszcz dobywał się pośród huku słup ognia. To wybuchały małe ilości roburytu.

W mieście Witten, przy ulicy Kolejowej, w odległości kwadransa drogi od miejsca katastrofy, silne szyby lustrzane zostały jakby na proch starte. W wielkich sklepach okna wystawowe leżą z futrynami i towarami na chodniku, a parobcy te szczątki zmiatają miotłami. W niektórych domach bramy zostały wgniecione w środek sieni, jakby nie z grubych desek, ale z tektury były zrobione. Po katastrofie tłumy ludzi wracały do miasta w zabrudzonej i paszarpanej odzieży — byli to świadkowie, którzy przeżyli straszne widowisko. Szli powoli, niektórzy z bandażami na głowach i rękach. Ciężko rannych i zabitych przywoziły rozmaitego rodzaju wozy.

W mieście Annen tysiące szyb zgniotła pręźność powietrza, wywołana wybuchem, a chodniki pokryte były odłamkami szkła, płatami poszarpanych stor blaszanych, kawałkami ram i futryn. Budynki niektóre są silniej uszkodzone niż w Witten. Bardzo ucierpiała kolonia fabryczna Kruppa. Prawie wszystkie dachy są w całości lub częściowo zerwane.

Siła drugiego wybuchu dosięgła takiego stopnia, że nawet w Dortmundzie i Langendreer zrządzone zostały szkody. W Dortmundzie prąd powietrza wygniótł szybę w pewnym handlu ptactwa. Pewna kobieta została zraniona kawałkiem żelaza. W Langendreer zwaliła się ściana jednego domu. W fabryce podczas katastrofy było niewiele osób. Szef ruchu i chemik dr. Kunze, tudzież portyer, ponieśli śmierć. Dwie rodziny, zamieszkałe w budynku fabrycznym, zginęły, jak się zdaje, również. Dyrektor Franke odniósł lekkie rany. Reszta zabitych i rannych to przeważnie urzędnicy policyi i policyanci, którzy chcieli kordonem otoczyć miejsce katastrofy, dalej strażacy, a wreszcie widzowie. Po pierwszym wybuchu sądzono, że to koniec wypadku. Nawet dr. Kunze, jak twierdzą świadkowie, zapewniał policyę, że niema obawy jakiejkolwiek katastrofy, gdyż roburyt od zwykłych płomieni nie wybucha. Tak jest w istocie, ale w fabryce pod Annen jakaś ręka zbrodnicza widocznie umieściła przyrządy z materyą wybuchową, od której dopiero roburyt wybuchnął.

Podobno w gruzach fabryki znaleziono resztki lontu, skutkiem czego zyskuje na prawdopodobieństwie przypuszczenie, że katastrofa jest dziełem zbrodniarza. Prokuratorya wdrożyła w sprawie tej śledztwo. Istnieje także podejrzenie, że fabryka ta wyrabiała oprócz roburytu, również inne środki wybuchowe, więcej niebezpieczne, na co nie posiadała jednakże koncesyi.

---

*) Roburyt, materyał wybuchowy, służący do rozsadzania skał, murów i t. p. Roburyt jest o 25% silniejszy od dynamitu.

Humor i satyra.

Uzdolnienie.

Gość do kupca. Nowy uczeń pański zdaje się być bardzo roztargnionym chłopcem.

Kupiec. Ho, ho! mówię panu, zaledwie jest u mnie trzy miesiące, a potrafi lepiej czerwone wino robić, niż ja.

* * *

Raz . . .

Raz jej ach! wyznałem,
Co w mem sercu czuję,
Że z miłości za nią
Szaleję — warjuję!!

Patrząc na mnie rzekła,
Chwile słów nie zatrą:
Pomów pan z ojczulkiem,
Papa jest... psychiatrą!“

* * *

Dobrze pojęte.

Pani do służącej. Anusiu, jeżeli cię pan zapyta, ile ta gęś kosztowała, powiedz o markę więcej.

Anusia z zachwytem. O, wielmożna pani powinna się urodzić służącą.

* * *

Nasze dzieci.

Matka czytając: U jednej biednej kobiety pojawiły się czworaczki!

Mała Janinka: Mamusiu, to pewnie bocian miał z sobą duży kosz?

* * *

Nieprzewidująca.

Raz spytałem ją znienacka,
W ustach jej tkwi ta pokusa,
Coby tak zrobiła teraz,
Gdybym ukradł jej całusa!

Popatrzyła na mnie chwilę,
Niepewności budząc trwogę,
Wreszcie rzekła: Ach! mój Boże!
Cóż ja naprzód wiedzieć mogę?!!

* * *

Iskry humoru.

(*Kwirynał*). Który z was wie, chłopaki, gdzie mieszka król włoski?

Szkoła milczy. Prętkowski po chwili:

— Ja wiem, proszę pana psora: w kryminale!

* * *

— W Japonii ci są dopiero prawdziwe „miłosierne siostry!“

— Dlaczego?

— Jest tam klasztor zakonnic, które składają przy obłóczynach ślub wiecznego milczenia!

* * *

— Bój się Boga, żono! Przy tej drożyźnie mięsa zachciewa ci się nowej sukni!?

— Właśnie dlatego! bo oszczędzając na jedzeniu w domu, tak schudłam, że wszystkie suknie są teraz niemożliwie obszerne!...

* * *

Pan oficyał ogromnie się irytuje, jak kto jego łysą głowę porównywa do księżyca w pełni — i słusznie! bo on przecież jak słońce co dzień wieczór zachodzi, a rano wychodzi... z knajpy.

* * *

Kwalifikacya.

Chłopcy! skoro sie bawicie w żołnierzy, to mianujcież którego porucznikiem!

— Ferdek! Ferdek będzie odpowiedni.

— A czemuż właśnie Ferdek?

— Bo on każdemu z nas coś winien.

* * *

Autor dramatu (wracając z żoną z premiery).

— A co mówiła publiczność tam w krzesłach obok ciebie!

— To samo co ja, gdy przepisywałam twój manuskrypt na czysto.

— ?

— „Chwała Bogu, że już koniec!“...

Łamigłówka.

Ułożyć wyrazów 15-cie siedmiogłoskowych, w których litery środkowe czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko rzeźbiarza polskiego.

o o o ■ o o o
o o o ■ o o o
o o o ■ o o o
o o o ■ o o o
o o o ■ o o o
o o o ■ o o o
o o o ■ o o o
o o o ■ o o o
o o o ■ o o o
o o o ■ o o o
o o o ■ o o o
o o o ■ o o o
o o o ■ o o o
o o o ■ o o o
o o o ■ o o o

ZNACZENIE WYRAZÓW:

1) Gatunek materyi.
2) Jeden z bohaterów i mądrych władców Litwy.
3) Przedmieście w Krakowie.
4) Imię męskie.
5) Wyspa w Europie.
6) Republika w Ameryce.
7) Miasto w Chinach.
8) Zwierzęta australijskie.
9) Czasopismo.
10) Herb Polski.
11) Rzeka
12) Opera Moniuszki.
13) Ptak.
14) Góry w Europie.
15) Księga obrzędów kapłańskich u Izraelitów.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 15-go grudnia r. b.

Rozwiązanie zagadki zamieszczonej w nr. 47-ym:

Pierogi.

Dobre rozwiązanie nadesłali: *z Poznania:* pp. K. Lesicka, Piotr Żurkowski, Apolonia Płoszyńska, Kazimira Galińska, Bronisława Świtańska, M. Maliński, L. Ludkowski, Ewa Łukomska; *z prowincyi:* pp. J. Trafankowski z Stęszewa, Helena Feld z Ponieca, J. Piskorska z Ostrowa, Z. Szyper z Gniewkowa, L. Paszkiewicz z Kcyni, H. Maciejewski z Czerniejewa, W. Urbanowicz z Gostynia, T. Rychwalski z Gniezna, B. Andersz z Krotoszyna, H. Dobielińska z Rawicza, K. Dykczak ze Środy, St. Stroiński z Wolsztyna, P. Wolna z Witkowa, W. Kokociński z Leszna, Agnieszka Wnuk z Gleszczonka pod Wyrzyskiem M. Lisiecka z Nowejwsi pod Koźminem, Bogacki z Rzetni, W. Bogacki z Więzowna pod Koronowem, J. Szperkowski z Pożarowa, W. Gizelski z Gębic pod Czarnkowem, Bronia Żakowska z Główny pod Poznaniem, A. Wieczorek z Antonina, J. i A. Nowiccy z Karolewa pod Węgierskiem; *ze Śląska:* pp. Janina Mierswa z Wrocławia, Jan Badura z Roździenia, Klara Blockus z Katowic, Jadwiga Badura z Roździenia, T. Kolanowski z Zabrza, R. Wodarski z Borsigwerku, K. Reck z Chroszyc; *z Galicyi*: pani M. Zborowska z Andrychowa; *z obczyzny:* pp: A. Jurkowski z Berlina, I. Piotrowicz z Alstaden, Jan Springer z Duisburgu, A. Woźniak z Oberhausen, Helena Rzepa z Baukau.

Nagrodę otrzymali: pp. Apolonia Płoszyńska z Poznania, Bronia Żakowska z Główny i Jan Springer z Duisburgu.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

GADY.

3)

POWIEŚĆ Z XIV WIEKU.

— Ganisz sojusz z Litwą, małżeństwo królewica z Gedyminówną za złe bierzesz, a pewny jestem, że pan Altenburgski, polityczny rozum mający, choć mu ono bratanie się nasze z pogany nie w smak idzie, samby nie postąpił inaczej, o dobro a przezpieczeństwo ojczyzny swej dbając. Wiem-ci ja, a i wam nie obce to być musi, że są jakowiś ludzie na świecie, Olendrami wabiący się, a nad morzem państwo swoje mający, zalewane przez fale nieumiarkowane z powodu brzegów płytkości, co mu dużo ubytku a szkód przyczynia. Tamy więc sypią i wały i groble zacne, abo, gdzie potrzeba, kanały ochronne rżną, a oną sztuką morze uśmierzone, jako głodny wilk wyje przed zamkniętą oborą, przystępu żadnego już nie mając. A któż im kiedy za złe brał, że do robót onych, do wałów, tam i groblisk, okrom zacnego kamienia i gruzu podłego używają?... Ma-li Łokietek mniej przezorniejszym być od onych Olendrów przemyślnych? Ma-li swojej obrony nie zamknąć, a wejścia do niej choćby podłym gruzem nie zawalić? O pogaństwie małżonki syna Łokietkowego prawisz, jakbyś nie wiedział, że już chrzest święty czoło dziewki Gedyminowej pomazał i z grzechu pierworodnego oczyszczona jest. Zali Paweł apostoł Szawłem się nie zwał a poganinem nie był, nim się do uczniów Pana a Zbawiciela zapisał?... Cwikniesz-że na niego, pogaństwo mu to wyrzucając? Prawda ci jest, że młoda królewiczówna lubi szatki strojne, gędźbę i pląsy, a bez hałasu piszczałek i żartobliwych trefnisiów śmiechu ludowi swemu się nie pokazuje — ale nie odrazu biała polepa do chałupy przystaje: wżdy ściany jej trzeba wyprawić a szumiące wpierw wapno wygasić. Sojusz z Litwą, jako i ono małżeństwo Kazimierzowe, niczem innem nie są, jak tylko onym wałem przeciw morzu nieuśmierzonemu. Nie spodoba się wam obora zamknięta, a nam się spodoba, że łacno już owce nasze zły wilk oskubie.

Zdawało się, że Wolffram von Salzbach nie słyszał tych słów. Wsparty na łokciu, ze zmrużonemi lekko powiekami, przed się patrzał, palcami lewej ręki brząkając o pochew miecza. W odpowiedzi wyręczył go brat Johan, który mocował się z wiatrem zadzierającym mu z tyłu manatki nieprzystojnie.

— Dużo prawdy jest w słowach waszych — odezwał się... — Nie inaczejby rzecz tę wykombinował i sam Dytryk. „Nie byłoby jednak tak — raz powiedział — gdyby wielkorządca poznański udzielnym księciem Wielkopolski stał się...“

— Bracie Johanie!... — zmitygował go znów rycerz von Salzbach... — Trunek, do którego nie przywykliście, zanadto wam język rozwiązuje. To, co pan Altenburgski wypowiadał w zaufanem kole rycerzy, nie zawsze ma wychodzić za próg izby obradnej.

— Pozwól mu mówić!... — bawiąc się kopaniem dołków w ziemi podkową obcasa, rzekł Szamotulski. — Nikt przez pusty dźwięk wyrazów nie zasiadł jeszcze na stolcu książęcym. Zatem... Dytryk... rad byłby mnie — widzieć... Ba! — ba!

I wieczny spokój, i wieczne przymierze, któreby wam dało możność i po ziemię krakowską sięgnąć i do pogańskich dzierżaw Gedymina zajrzeć wraz z nami! — zawołał brat Johan, podnosząc szpigulec do góry.

— Bracie Johanie! — ozwał głośniej Wolfram — głową pokiwał, jakby niezadowolony był z rozgadania się nieumiarkowanego.

Brat umilkł, czmychnął nosem, łeb ku ziemi, jako winowajca opuścił, tłustymi palcami młynka na brzuchu zakręcił, i, niby zasromany, do skwierczącej baraniny powrócił.

Zapanowała cisza.

Szamotulski zapatrzył się przed siebie, a mary dziwne po głowie snuć mu się zaczęły. Widział Dytryka, pana na Altenburgu, podającego mu rękę sojuszniczą, to w omgleniu jakiemś przesuwał się tron wielkoksiążęcy, barwiący się czerwienią. Przypominał sobie wygnanie Łokietkowe, niepowodzenia jego, ukrywanie się w jaskiniach Ojcowa i długi opór możnowładców Wielkiej Polski zanim pokłonili się mu i za pana uznali. Tę niechęć do rządów Władysławowych i on podzielał. Okupił ją król wielkorządztwem poznańskiem, łaską nieoczekiwaną, dostojeństwem niemałem, *sobiepaństwem*, jakiem sam sobie pan Wińcz w nos dmuchał, niby kadzidłem przedniem. Wiedział jednak, co ony aromat znaczy i z czyjej kadzielnicy pochodzi. A tu ten Johan... ten Dytryk!...

Do twarzy nabiegła krew.

W tem na skraju puszczy gwar się podniósł, szczęk oręża a wiatr przyniósł wołanie rozpaczliwe:

— Ratujta ludzie... o — la Boga!...

— Słyszycie?!... — zawołał porywając się z ziemi Wińcz.

Krzyk nie ustawał.

— To nie huk wiatru, łamiącego twarde konary drzew! to głos ludzki z rozrzynanego gardła pochodzący... Do mnie!

Rycerze, dworzanie, służba, wszyscy, jak mąż jeden porwali się z miejsc swych i skupili około pana Szamotulskiego w słuch się zmieniając; Wolffram von Salzbach na ramię płaszcz zarzucił i mimo woli chwycił za miecza rękojeść, brat Johan od baraniny odbiegł, raz wraz jednak zwracając ku niej wzrok niespokojny, orszak cały czekał na rozkaz pański. Wołanie nie ustawało, coraz gwałtowniejsze a rozpaczliwsze było.

— Na koń! — Wińcz krzyknął...

— Herr Jezus!... — zawołał brat Johan, widząc, że Salzbach konia dosiada. Do swego rumaka skoczył — ale w pół drogi zawrócił się: kozły z baraniną od ognia odsunął, i wtedy dopiero do strzemienia się zabrał, obydwiema rękami za kulbaki się łapiąc.

— Marsz! — krzyknął Szamotulski.

Zadudniła ziemia pod kopytami końskiemi — pomknęli, jak wichr.

Brat Johan jedną nogę w strzemieniu miał, drugą po ziemi dreptał, nijak nie mogąc przez siodło się przerzucić, bo rumak rwał się i za towarzyszami chciał biedz, poważna zaś objętość żywota brata Johana raz wraz go odsadzała od grzbietu końskiego. Wreszcie stęknął i na kulbace się znalazł, ale nim wodze ułapił, rumak już pełnym sadził galopem, nie drogą, nie gościńcem, któremi zwykł był jeździć brat Johan, lecz bór, na przełaj, którędy jego towarzysze pognali. Brat poznał niebezpieczeństwo, lecz z rozhukanem zwierzęciem nijak poradzić nie umiał. Wodze wypuścił, obiema rękami za kulbakę się chwycił, i stękając niemiłosiernie za każdym skokiem rwącego się naprzód rumaka, oddał się opatrzności Boskiej. Ale snać i opatrzność z rozstawionemi pedałami nic zrobić nie potrafiła. Brat Johan o pierwszą lepszą sośninę zawadził, urżnął się łbem o konar dębu, i ani się spostrzegł, jak na świętej ziemi się znalazł. Kto wie jednak, czy ocalenie swoje postom a wstrzemięźliwości w napojach nie zawdzięczał. Runął wprawdzie, jak kafar, z łomotem wielkim, ale do łomliwych kości daleko było a sadło nie łatwo się tłucze: siadł, jak Pan Bóg przykazał, w kałuży miękkiej, jeno lód trzasnął pod nim i niechlujna woda bryznęła. Zrazu nijako mu było, bo do kąpieli takiej gustu, a do skakań nadpowietrznych

usposobienia nie miał — ale wnet zoryentował się w onej nowej dla siebie sytuacyi: przetarł oczy, obiema rękami o ziemię się wsparł i począł się rozglądać. Przed nim — puszcza, na lewo i prawo puszcza ta sama i wichrów homon, za nim — baranina.

Brat Johan węszyć zaczął...

Uśmiechnął się, wstał i przechylając się z boku na bok, krok swój ku lubemu przedmiotowi skierował, a widząc, że woń ma i barwę, rzeczy gotowej właściwą, zdjął z kozłów, na ziemi siadł, w obie łapy wziął przedmiot luby i kęs po kęsie zdrowymi zębami rwać począł, zapijając dużym łykiem gorzały, którą odnalazł w torbach, pozostawionych przez służbę pana poznańskiego.

Tymczasem Szamotulski, z rycerzem von Salzbach i dworzany swoimi dobiegał do skraju puszczy.

O staj kilka, na drodze polowej coś się kotłowało i jeno już jęk niewyraźny słychać było. Daleko omdlewał tentent umykających koni — coś mignęło raz i drugi białem skrzydłem motyla... i zmilkło i scichło, po nagiem polu wiatr tylko swobodnie hulał i niósł jęk głuchy i rzężenie czyjejś piersi umierającej.

— Pochodni! — krzyknął pan Szamotulski.

Błysnęło...

W okręgu światła dostrzeżono broczącego w krwi kmiecia. Żył jeszcze, oddychał ciężko, żywot rozpruty miał i rękę wyłamaną okrutnie. Nie w bezowocnym snadź jednak boju padł, szamotać się musiał i walczyć, bo w pięści, konwulsyjnie ściśniętej trzymał szmat płachty białej, widno, zerwanej z ramienia napastnika niegodnego. Pan Szamotulski dostrzegł na strzępie jej trzy litery w otoku wieńca laurowego, dzierzgane czerwienią i złotem. H. K. T. wśród zieleni wawrzynów świeciło.

— A kto cię tak dźgnął bezecnie, człeku nieszczęsny? — zapytał...

Kmieć blademi usty wybełkotał:

— Krzy—ża—ki...

Wśród otoczenia Szamotulskiego, dworzan i służby, uczuć się dało drgnięcie dziwne, niby burzy idącej, niby pierwsze gromów głuche warknięcie.

— Ten człowiek kłamie! — zawołał nagle Wolffram von Salzbach — a mówiąc to, wyrwał pochodnię z ręki pachołka, uzbrojoną żelazem stopą szukając gardzieli umierającego człeka. Znalazł — pochodnię w górę podniósł, której płomienie wiatr targał i rwał w języki złote — i zawołał raz jeszcze:

— Przysięgam na światłość ognia tego, że ten człowiek bezecnie skłamał!...

W tej chwili chrupnęło coś pod żelazną stopą krzyżaka... a wtedy pochodnię zniżył i oświecając twarz zabitego — rzekł:

— Patrzcie, jaką falą krwi żygnął, a wżdy jeno trzewia przebite miał! patrzcie, jak ślepie na wierzch mu wyszły!... Nie znak-że to, iż za kłamstwo bezecne ozór mu z warg żywych się wytoczył, a grzeszna dusza, ze sprośnego ciała wychodząc, tak ohydnie wysadziła mu białka oczu?

Ze zdumieniem fenomenowi onemu przypatrywała się czeladź i ślachecka drużyna pana Wincza. Jednak nie ustawał pomruk głuchy, tu i tam ozwały się głosy, świadczące za prawdą słów zabitego.

— Niech spoczywa w spokoju — ozwał się po chwili Wincz. — Kto praw na sądzie ostatecznym Pan rozstrzygnie!... Szlachetny rycerzu — do Wolfframa się zwrócił — z Bogiem jedź, bo i mnie czas w drogę!... Ano... pokłoń się tam odemnie panu Dytrykowi Altenburgskiemu.

Pochodnię zgasić rozkazał — i na czele orszaku ku majaczejącej w oddali wsi ruszył.

Salzbach rad był z takiego obrotu sprawy. Drgnięcie, jakie uczuł w onej otaczającej go gromadzie ślacheckiej, samorzutną oznaką było nienawiści, skierowanej ku niemu, jako rycerzowi zakonu znienawidzonego. On pierwszy zasłyszał tentent umykających koni, on pierwszy dojrzał białe skrzydła motyle, ginące w ciemnościach.

Granica ziem pomorskich o trzy niewielkie strzał rzuty była, często się pojawiały dorywcze napady nocne. Trupy pobitych znajdowano na miedzach pól, w głuszy leśnej, nieraz topielec wychylał się z nurtów rzeki, a wżdy miał ranę krwawą od miecza szerokiego. Pomiędzy Polszczą a zakonem był pokój — ale nie ten, który wróży pogodę na czas dłuższy, lecz ten, który burzą nagłą, a wysypaniem się piorunów grozi. W Gdańsku i zagrabionem całem Pomorzu umocniało się krzyżactwo, Polszcza kojarzyła się z Litwą.

Nie zabawił długo Wolffram von Salzbach na polu pustem, gdzie leżał trup chłopa wielkopolskiego, krwią serdeczną przepajając zagon rodzinny. Obie ostrogi wpakował w brzuch konia i do pozostawionego w samotności brata Johana powrócił. Zastał go przy dopalającem się ognisku, leżącego na wznak, z rękami założonemi na żywocie odętym, chrapiącego na las cały. Wszystkie flachy wypite były, sumiennie ogryziona kość z ćwierci baraniej leżała tuż przy nim.

U pana Szarego.

Że to już późna jesień na dobre ludziom w oczy zajrzała i coraz bardziej ku złej zimie się miało, dni zaś krótkie, jako o dobrodziejstwie pamięć ludzka, a noce długie, jako niedola człowieka były: nie zabierano się więc jeszcze do snu w słomą krytym domostwie pana Floryana, bo choć szczera ciemnica zalała już świat, nie tak to dawno, jako słońce za bory zaszło i w jakiejś-ci utonęło otchłani, a mrok gęsty ziemię opasał, przemożnem ramieniem ścisnął, okrył włosistą piersią chmur, pochylił swój łeb ciężki na łono jej zziębnięte — i usnął, nieumiarkowanym wichrem jeno sapiąc, jako to czyni człek pracowity po trudzie, a harowaniu całodziennem.

Zawcześnie tedy było do spoczynku się brać, jeno kury pozajmowały przeznaczone miejsca dla siebie i w kucki siedząc, drzemały, ale ludziom nie marzyło się o śnie jeszcze, szczególnie dziewuchom, które kupą w piekarnianej izbie się zebrały i topiły wosk, a trepkami długość świetlicy mierzyły, której zaś bucik pierwszy za próg się wysunie, ta najpierwsza za mąż pójdzie i wieniec dziewiczy straci. Jedyna to jest strata, której dziewuchy nie żałują i często bez pozwoleństwa starszych gubią go w sadach wiśniowych.

Czy to więc w tej części domostwa, gdzie były izby gospodarskie, czy w piekarni, gdzie czeladź się zbierała, by przy ognisku zziębnięte członki ogrzać, a z dziewkami się pogzić — wszędy przez błony okienne wesołe przebłyskiwało światło, tam i sam ruchały się cienie ludzkie,a bylo kto od piekarni dzwi otworzył, wnet wlewała się się do sieni jarząca ognia czerwoność, buchało ciepło okrutne i zapach świeżego pieczywa wraz z wzmożonymi głosami ludzkimi, dopóki ktoś drzwi nie zatrzasnął na nowo i onej błyskawicy nie zgasił, głosów nie stłumił, że jeno zapach razowca rozchodził się czas jakiś w powietrzu i psom, w progu spoczywającym, węchliwe nozdrza drażnił. Nie obyło się bez przyśpiewu i śmiechu i krzyku dziewki jakiej napastowanej, ale snadź nie krzyżacka to krzywda była, bo znów śmiech zagrzechotał, śpiewka zabrzmiała i krzyk piskliwy, a topiony wosk żółtą wstążką do cebra spadał i dziwy wytwarzał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)